

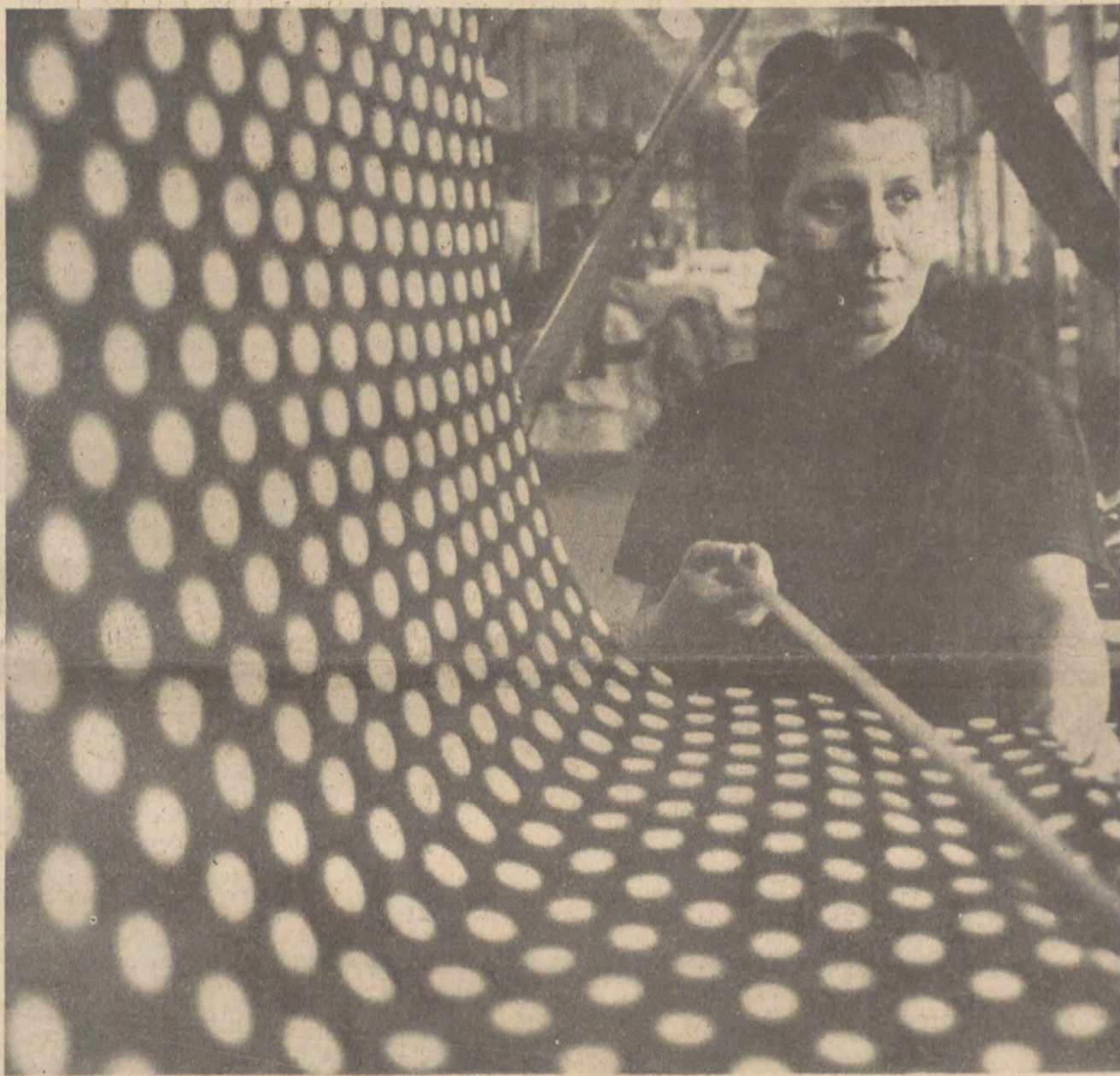
W numerze: Po Sejmiku Słaczek i Judymów • RYSZARD BINKOWSKI **Dłonie matki, oczy dziewczyny** • WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ **Kłopoty z powieścią historyczną** • JAN BABIŃSKI **Gdzie ginie człowiek** • JOLANTA MACH **O cnocie i rozpuszcie** • **Podróże na Wschód**

odgłosy



8. III 1970 r.
10 (642)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. W. Parys

W trosce o sprawy 400 tysięcy kobiet

Z BARBARĄ NATORSKA, PRZEWODNICZĄCĄ ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZW. ZAW. PRAC. PRZEM. WŁOKIENNICZEGO, ODZIEŻOWEGO I SKÓRZANEGO, ROZMAWIA TERESA WOJCIECHOWSKA.

I oto znów mamy Dzień Kobiet, okazję, żeby porozmawiać o kobietach odświeżenie, ciepło, serdecznie, jak na 8 Marca przystało. Że ozdoba życia, westalki, że trzeba je kochać, cenić, szanować. A właśnie wcale nie o to chodzi. Nie o to, żeby było wiele pięknych słów tak samo ulotnych i nietrwałych jak atmosfera owego jednego dnia w roku. I dlatego te rozmowy trzeba przeprowadzić z kobietą, a nie z mężczyzną. W Łodzi nie trzeba szukać długo, żeby znaleźć taką, która na ten temat ma wiele do powiedzenia „żywej prawdy”, nie przesłodzonej laurkowym nastrojem. Oto na przykład Barbara Natorska, przewodnicząca Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, postanka na Sejm. Nikt tak dobrze jak ona nie zna spraw kobiet pracujących, nikt się z tymi sprawami tak często nie styka.

— Przemysł lekki, to przecież przemysł zatrudniający największą liczbę kobiet wśród wszystkich gałęzi przemysłu, a więc i Związek, któremu Pani przewodniczy jest Związkiem, skupiającym największą liczbę kobiet?

— Tak, nasz Związek zrzesza bez mała 400 tysięcy, w tym ponad 80 tysięcy łodzianek. W przemyśle lekkim pracuje średnio ponad 60 procent kobiet, w niektórych branżach, jak na przykład dziewiarskiej, odzieżowej — znacznie więcej. A więc u nas jak w soczewce, gromadzą się wszystkie najistotniejsze problemy większej części rodu ludzkiego.

— Przemysł lekki zawsze zatrudniał poważną liczbę kobiet, czy jednak w porównaniu z minionymi latami zmieniło się coś w hierarchii zawodowej, w pozycji kobiet?

Dalszy ciąg na str. 4

Literatura i polityka

Z Jerzym Putramentem
rozmawia Konrad Frejdllich

KONRAD FREJDLICH: Jeśli przyjmiemy, że współczesna literatura polska powinna ukazywać nasze życie w pełnych wymiarach, nie przemilczając żadnej z jego istotnych dziedzin, budzi zrozumiałe niepokój nikłość dokonanych próz w tym kręgu tematycznym, który łączy się bezpośrednio z polityką. Należy pan do nielicznych u nas pisarzy, którzy problematykę tę podjęli w swoich książkach. Proszę zatem powiedzieć, dlaczego tak rzadko mamy do czynienia z powieścią polityczną w pełnym znaczeniu tego słowa?

JERZY PUTRAMENT: Temat polityczny jest rzeczywiście omijany przez większość pisarzy. Nie jest to jednak tylko ucieczka, przyczyną są bardziej złożone. Droga

pisarza politycznego rzadko jest usłana różami. Wyjaśnijmy sobie może najpierw podstawową trudność. Stosunkowo łatwo jest atakować panujący ustroj, pióro niesie wtedy lekko. Tak dzieje się w krajach kapitalistycznych, gdzie nie tylko powieść krytyczna, ale wręcz rewolucyjna, jest zjawiskiem powszechnym. Inne są zadania literatury w Polsce Ludowej, w kraju budującym socjalizm, a więc ustroj, który jest nadzieją dla świata w ogóle. Nasza literatura powołana jest do afirmowania tej drogi. I tutaj, ze względu na samą technikę prozy fabularnej, pisarz staje przed trudnym zadaniem. Przecież tym, co trzyma czytelnika w napięciu, jest konflikt powieściowy, ukazanie w książce scierają-

cych się siły. Jeśli racje rozłożone są w ten sposób, że z góry wiadomo, kto wygra, to trudno zbudować konflikt, zaprzatający uwagę czytelnika.

Druga trudność to wybór tych zjawisk, które trzeba krytykować, a także sposób, w jaki się tego dokonuje. Żyjemy w kraju, gdzie nie ma opozycji politycznej, są jednak ludzie zniechęceni, rozgoryczeni, bo tacy ludzie są wszędzie. Niekiedy szukają ujścia dla swoich zawodów właśnie w literaturze. Ale, gdy przedstawia się rzeczywistość krytycznie, trzeba ją dobrze zrozumieć i poznać. Na lubelskim zjeździe ZLP Władysław Gomułka powiedział, że nie może być tematów dla literatury zakazanych, niedostępnych, ale ich podejmowanie musi być uzależnione od tego, co pisarz zrozumiał z naszej rzeczywistości, po prostu mówiąc, od jego rozumu. Wydaje mi się, że to niesłychanie trafna formuła, bo trzeba mieć ogromny ładunek politycznego doświadczenia, żeby napisać celną powieść polityczną.

KONRAD FREJDLICH: Jest pan pisarzem i politykiem, a to zjawisko dość rzadkie, nie tylko w naszym kraju. Pańskie doświadczenie polityczne nie jest więc doświadczeniem polegającym tylko na czytaniu gazet. Czy znaczy to jednak, że kłopoty i trudności pańskie

związane z podjęciem tematu politycznego, były mniejsze niż w wypadku, gdyby pan tego rodzaju doświadczeniem osobistym nie dysponował?

JERZY PUTRAMENT: To prawda, że polityka jest moim zawodem, podobnie jak jest nim literatura. I na pewno doświadczenie polityczne bardzo mi się w mojej drodze pisarskiej przydało, piszę o tym, co sam najlepiej poznałem.

Czy znaczy to, że doświadczenie polityczne stanowi od razu gwarancję powodzenia próby powieściowej? Nie pisało mi się moich książek łatwo, odkładałem rozpoczęte próby niekiedy na całe lata, aby wrócić do nich po znalezieniu koniecznego dystansu. Jest to ta dziedzina, gdzie boryka się nie tylko pisarz, gdzie kłopoty ma także polityk. Przecież bardzo doświadczeni działacze niekiedy nie rozumieją wymowy dzieła literackiego i praw, którymi ono się rządzi. Taki los spotkał kiedyś „Spisową brame” Brezy, którą początkowo odczytano jako utwór prowatykański, gloryfikujący pontyfikat Piusa XII. Dlatego pierwsze wydania tej książki miały bardzo nikle nakłady. Musiało upłynąć sporo czasu, nim zmieniono tę błędną decyzję. Otrzymała ona nakład masowy, kiedy jej ostrze nieco stępiało, bo po śmierci Piusa XII poważnie

zmienił się styl pracy Watykanu. Dziś jest to już książka właściwie historyczna.

Pisarz podejmujący temat polityczny musi szczególnie liczyć się z wymową swojej książki. Dobre intencje i szlachetne pobudki, niestety, nie wystarczą. Stąd także bierze się duża ostrożność wydawców. Podobnie zresztą postępują krytycy. Analiza powieści politycznej jest zazwyczaj dokonywana przez recenzentów w sposób niesłychanie zdawkowy, nic nie znaczący. Nawet tak poważny dziennik, jak „Trybuna Ludu” opublikował bardzo ciepłą recenzję z mego „Odyńca”, a jest to w końcu tylko romans, przy całym szacunku dla tego typu powieści. Natomiast moje książki o tematyce politycznej spotkały się raczej z zarzutami. Czasem, jak w wypadku pewnej recenzji opublikowanej przez „Życie Literackie”, dochodziło wręcz do nonsensów.

KONRAD FREJDLICH: Lista powieści politycznych, które ukazały się po wojnie w naszym kraju, jest na pewno bardzo krótka, ale przecież nie brak książek o pewnym zabarwieniu wyraźnie politycznym. Mam tu na myśli ten nurt poszukiwań naszej prozy, który

Dalszy ciąg na str. 4



Wizyta min. Gromyki w Berlinie i Warszawie, pozytywna odpowiedź W. Brandta na propozycję spotkania się z prem. Stophem, kolejna debata nad polityką zagraniczną w Bundestagu, rozmowy prez. Pompidou w Waszyngtonie, 28 spotkanie „wielkiej czwórki” w Nowym Jorku na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie i możliwości wznowienia misji amb. Jarringa oraz rezygnacja Rumora z misji utworzenia nowego rządu włoskiego, zgłoszona po bezowocnych wysiłkach zmontowania centrolewicowego gabinetu — oto najważniejsze wydarzenia ub. tygodnia.

Wobec wzmożonej aktywności dyplomatycznej na linii Moskwa, Warszawa, Berlin z jednej strony, a Bonn z drugiej — uzasadnione zainteresowanie towarzyszyło wizytom min. Gromyki. Z licznymi komentarami spotkał się końcowy komunikat o pobycie radzieckiego dyplomaty w NRD, przede wszystkim zaś ta część komunikatu, która dotyczy Europy. Potwierdzono w nim konieczność umacniania stosunków między krajami europejskimi oraz rozstrzygnięcia problemów na podstawie status quo — uznania granicy między NRD i NRF oraz granicy na Odrze i Nysie.

Komunikat w obszernym fragmencie nawiązuje do gotowości NRD ukształtowania na między narodowej zasadzie stosunków z NRF. Niemiecka Republika Demokratyczna zajmuje ważną rolę w współczesnym świecie jako czynnik pokoju i bezpieczeństwa. Powinna uczestniczyć bez jakichkolwiek ograniczeń we współpracy światowej, w tym w pracach ONZ. Nie do pogodzenia są więc próby podejmowane przez koła imperialistyczne pomniejszenia jej między narodowej pozycji. Przedłożony przez NRD projekt układu o ustanowieniu równoprawnych stosunków z drugim państwem niemieckim odpowiada interesom bezpieczeństwa. ZSRR i NRD oczekują w związku z tym, iż rząd zachodnio niemiecki przejawia poczucie realizmu politycznego.

We wspólnym komunikacie odnotowano także celowość wymiany poglądów między Związkiem Radzieckim i trzema mocarstwami zachodnimi na temat „poprawy sytuacji w Berlinie zachodnim oraz usunięcia trudności i napięcia w tym regionie”.

Znaczenie sformułowań komunikatu szczególnie wypunktowała jednodniowa debata zachodniemieckiego parlamentu na temat polityki między narodowej. Było w niej wiele niedomówień. Opozycja (zresztą niejednolita) wyraziła uprzedzenie do gotowości zaprobowania układów, jakie wynegocjuje z krajami socjalistycznymi rząd Brandta, ale z zastrzeżeniem, że będą one dla niej do przyjęcia. Odnosi się to także do granicy na Odrze i Nysie. Czytając sprawozdanie z debaty w Bundestagu odnosi się wrażenie, że w Bonn poszukuje się formuły jakiegoś „pośredniego uznania” i pozostawienia w ewentualnym układzie furty na „wszelki wypadek”. Tak należy rozumieć głosy o potrzebie „kompromisu z drugiej strony”, czy też „nieprawnym zaistnieniu granicy”. Oczywiście nie trzeba dodawać, że nie może to sprzyjać nowej, marcowej turze wymiany poglądów między Polską a NRF.

Nie służy również europejskiemu bezpieczeństwu zajęcie przez Bundestag negatywnego stanowiska wobec uznania NRD w świetle prawa międzynarodowego. Uwarunkowanie zgody na rozmowy z prem. Stophem nieuznaniem de iure drugiego państwa niemieckiego — gdyby Brandt to zastrzeżenie przyjął — może postawić pod znakiem zapytania celowość kontaktów na naj wyższym szczeblu.

Debata nie wniosła więc korzystnych elementów, ciągle część deputowanych ludzi się, że można nadal przemykać oczy na europejską rzeczywistość. Złudzenia zaś uniemożliwiają konstruktywną politykę.

Drugi temat dzisiejszego komentarza — to rozmowy Pompidou w Waszyngtonie. Jak piszą korespondenci z Paryża, była to „pierwsza wielka podróż zagraniczna Pompidou od chwili objęcia Pałacu Elizejskiego”.

AP ocenia ją następującymi słowami: „W czasie stych rozmów w Waszyngtonie Nixon i Pompidou nie osiągnęli niczego więcej i niczego mniej niż to, co zamierzali osiągnąć: zakończone zostało 10-lecie prawie arktycznego klimatu...”.

Agencje światowe nie mogą jednak wyjść poza to ogólne stwierdzenie, gdyż rozmowy obu prezydentów nie usunęły szeregu istotnych rozbieżności.

Odnosi się to niemal do wszystkich najpilniejszych międzynarodowych problemów:

■ W sprawie Bliskiego Wschodu stanowisko Francji jest niezmiennie — Izrael powinien przede wszystkim wycofać się z okupowanych terytoriów. Dużą rolę w pokojowym uregulowaniu konfliktu powinny spełnić cztery mocarstwa.

■ Wojna wietnamska powinna być zakończona, a terytorium południowego Wietnamu zneutralizowane, pozabawione obcych baz.

■ Stosunki z Europą Wschodnią ulegają — według oceny prezydenta Francji — poważnej poprawie. Francja spróbuje ideę zwolnienia europejskiej konferencji i chociaż łączy jej zwolnienie z „wystarczającymi przygotowaniami” nie jest zainteresowana grą na zwłokę.

■ Francja nadal nie będzie uczestniczyć w wojskowej strukturze NATO.

Już choćby z tego skrótowego wyliczenia wynika niedwuznacznie, iż nie usunęto rozbieżności. Wręcz odwrotnie — odmienności występujące w polityce obu krajów zaakcentowano. Nie będzie więc „arktycznego klimatu”, ale nie będzie też zgodności polityki zagranicznej...

W. ŚLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Opłakane skutki reklamy

Królowa detektywów

„WELT DER ARBEIT” — KILONIA

Z początkiem bieżącego roku ministerstwo spraw wewnętrznych NRF opublikowało dane o wzroście przestępczości wśród młodzieży do lat 15. W okresie od 1963 do 1969 roku ilość przestępstw zwiększyła się o 50 procent, przy czym liczba kradzieży wzrosła nawet o 60 procent, a przypadków grabieży sklepów aż dwukrotnie (dane te dotyczą tylko przestępstw „oficjalnych”, tj. odnotowanych przez policję).

Wszecchpotężna reklama nieustannie atakuje: „Jeśli nie piszesz długopisem firmy SUNDISO i nie kupujesz czekolady firmy SUNDISO — nie jesteś nowoczesnym chłopcem i nie jesteś nowoczesną dziewczyną. Wszyscy mają cię za idiotę...”

Nastolatki polykają ten haczyk. Reklama jest bezlitosna i brutalna zarazem. Trzynastoletnia dziewczyna jest w końcu przekonana, że jeśli natychmiast nie zacznie

kupować słodyczy firmy SUNDISO, „nigdy nie znajdzie dobrego męża”...

Reklamują planse, reklamują ekrany telewizorów i kin. Mącą umysł młodzieży, która przecież nie ma jeszcze doświadczenia życiowego, której trudno wreszcie oprzeć się huraganowi zaleceń, porad i opinii — noś to i to, jedź to i to, pij to i to, oglądaj to i to, pal to i to! W 13 i 14 roku życia nie ma się, zazwyczaj, stałej pracy. Wtedy „obrabia” się sklep, kradnie, rabuje.

Jednocześnie z opublikowaniem danych o wzroście przestępczości wśród nieletnich, ministerstwo spraw wewnętrznych Republiki Federalnej rzuciło myśl „podjęcia nadzwyczajnych środków w celu opracowania nowego programu walki z przestępczością młodocianych”.

Ale jak zlikwidować zło, które jest dziełem społeczeństwa?

Radzieckie rakiety — francuskie sputniki

„NATION” — PARYŻ

Zgodnie z porozumieniem między Francuskim Centrum Badań Kosmicznych i naukową organizacją krajów socjalistycznych „Interkosmos”, grupa uczonych radzieckich udała się na należącą do Francji, wyspę Kerguelena, na Oceanie Indyjskim, gdzie zmontoje urządzenie do fotografowania obiektów kosmicznych.

Jest to jeden z pierwszych praktycznych kroków francusko-radzieckiej współpracy w zakresie badań kosmicznych.

W roku 1970 Rosjanie, przy pomocy jednej ze swoich „Sond”, wysłał na

Księżyc francuski reflektor laserowy, który został już przekazany uczonym radzieckim.

Urządzenie to pozwoli na przeprowadzenie dokładnych pomiarów odległości Ziemi od Księżyca oraz niektórych innych parametrów, związanych z ruchem naszej planety.

Dwa niewielkie sputniki francuskie, przeznaczone do celów naukowych, typu „SERT”, zostaną umieszczone na orbicie okołoziemskiej przez rakiety radzieckie, wystrzelone w ramach programu „Kosmos”.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Skoro już o pornografii mowa...

— Masz globulkę, Izoldo?

— Tak, Tristianie!

— Klądzie się dzieci do łóżka! Zabawiacie się i bądźcie grzeczni!

Skoro już mowa o pornografii i seksualizmie...

Pisał Ćwiek (Odgłosy nr 8/64): „... ta wielka, nieustająca ekshibicjonistyczna wystawa i wyprzedaż seksu w ujęciach krańcowo perwersyjnych, patologicznych, jaka przewala się przez północne i zachodnie kraje Europy, stanowi punkt, poza który już pójść nie można. Nie da się...”

W jednym z czasopism zachodnioeuropejskich widziałem fotografię okładki, bardzo zresztą estetycznej okładki, pewnego albumu. Tytuł: „Sto pięćdziesiąt sposobów w miłości przedstawionych na szwedzkich fotografiach”. Ja czyż my jesteśmy zacofani! Poczciwy starszerek Vanderveelde (proszę mi wybaczyć jeśli źle zapamiętałem nazwisko, z grubym tomiskiem „Małżeństwa doskonałego” zapoznawałem się na szkol-

nej, a raczej pod szkolną (a w) uczył nas zaledwie kilkunastu pozycji. Widać że od czasów mojej młodości nastąpił w tej dziedzinie znaczny postęp. Własnych dzieci wstyd się pytać. Orzekną, że jesteśmy zacofanymi wapińkami i nie nadążamy. Sto pięćdziesiąt sposobów nie licząc akrobatycznych wyczynów ludów dzikich (jeśli takie ludy jeszcze istnieją. Ostatnie o tym wiadomości mam od Malinowskiego, ale „Życie seksualne dzikich” piłał on kilkadziesiąt lat temu) — to jednak jest coś.

Wystawa kopenhaska? I na co się tu oburzać? Że ktoś kogoś namawia do świni tuszenia zgarniając za to grubszą forszę, a drugi płaci jej świntuszac? Znudzi się — powiadali ci i owi z moich rozmówców, których pytałem co sądzą o kopenhaskiej wystawie pornograficznej. Natura sama limituje w tej dziedzinie nawet znaczne możliwości i pomysły. Dalej już się nic wymyślić nie da. Przypomina się stary żart o zbliżowanym młodzieńcu, który poznał w praktyce

„Posiadam niewyczerpany zapas energii” — zwierza się w dniu swoich 79 urodzin Agatha Christie, autorka przeszło 80 powieści i 19 sztuk teatralnych.

Agatha Christie, jedna z najpopularniejszych angielskich powieściopisarek, jest nadal pełną inwencji twórczej i praca sprawia jej moc satysfakcji. „Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak dużo piszę — mówi pisarka. Za każdym razem, gdy kończę książkę mówię sobie: No, ta to już będzie ostatnia! Ale jeśli praca stała się już na wykiem i jeśli czujesz się na siłach, by napisać, być może nieźliż rzecz, chcesz pisać i pisać”...

Zdumiewa skromność pisarki. Jeden z jej przyjaciół mówi: „Agatha Christie jest dystyngowana, inteligentna kobieta. Co jest źródłem nieustannych sukcesów tej statecznej, starszej lady? Wszak jej ogromna popularność nie maleje, wprost przeciwnie — miniony rok przybił jej nowe sukcesy. Nie jest nie przymusza do pisania: ma pieniądze, nie interesują jej ani stroje, ani kosmetyki. Wydaje mi się, że ona po prostu lubi sprawiać ludziom przyjemność”.

Pomysłowość i różnorodność tematyki w powieściach kryminalnych Agathy Christie zjednały jej przydomek „królowej detektywów”.

„Pracuję z prawdziwą radością — mówi pisarka — nawet nie myśląc o tym, że tematyka moich książek nie powinna się powtarzać. Powieści kryminalne są głównie po to, żeby ludzi trochę rozerwać, taka lektura sprzyja odprężeniu. Jednakże jest w nich również pewna doza morału: bronić niewinnego i przyciskać do muru przestępcę.”

Bardzo skomplikowaną sprawą jest wybór narzędzia zbrodni. Trudno mi, ja ko kobiecie, znać subtelności broni palnej. Dlatego w mo-

ich powieściach przestępcy dokonują zbrodni przy pomocy środków, nie wymagających specjalnych umiejętności. Moi niekiedy znajomi, uczeni-atomieści, doradzali mi „bardziej współczesne” metody pozbawiania ludzi życia. Są one jednak tak skomplikowane, że mogłoby je stosować chyba tylko sami uczeni. Nie znoszę brudnych morderstw, mierz mnie lektura ponurych zbrodni w gazetowych kronikach kryminalnych.

Jeśli mam już obmyślony szkic powieści i jeśli nic mi nie stanie na przeszkodzie, mogę ją napisać w przeciągu trzech miesięcy. Nie lubię stylu powieściowego; daję pierwszeństwo dialogom. Jest to forma oszczędna i interesująca. Dialog ustawił mnie w pozycji reżysera teatralnego: słucham moich bohaterów, jakby to byli aktorzy.

W młodości pisywałam wiersze, które nawet publikowano. Marzyłam też wówczas o karierze pianistki, ale byłam zbyt nerwowa, nie mogłam koncertować publicznie, palce odmawiały mi posłuszeństwa.

Podczas pierwszej wojny światowej pracowałam w szpitalu jako kowym. Gdy któregoś miesiąca otrzymałam urlop, pojechałam do Dartmoor i spędziłam tam samotnie trzy tygodnie. Owocem tego pobytu była moja pierwsza powieść detektywistyczna, którą jednak nie przyjął ani jeden wydawca.”

W realiach powieściowych Agatha Christie jest niewyjątkowo skrupulatna. Pisząc, na przykład, książkę „Zabójstwo w Orient-Expressie”, pisarka szczegółowo zapoznała się z działaniem zwrotnic kolejowych na dworcu w Bagdadzie, gdzie rozgrywała się akcja powieści. „Pewien mój czytelnik — mówi Agatha Christie — po przeczytaniu tej książki odbył daleką podróż do Bagdadu, żeby na miejscu sprawdzić fakty...”

wszystko co było tylko możliwe w zakresie seksu. Na rozmaite propozycje odpowiadał wreszcie znużonym głosem: „Było... było...” Ożywił się dopiero wtedy gdy go spytano: „A może coś z ryb?” Nic się już więcej nie da zrobić.

Niestety, da się. Prawie wszyscy przeoczyliśmy pewną drobnostkę. Jeśli nawet czytaliśmy o tym, nie zwróciliśmy większej uwagi. Otóż na kopenhaskiej wystawie pornografii pokazano nie tylko książki, nie tylko obrazki i filmy, na których widok rumienili się i sam Don Juan, nie tylko plastikowe odlewy narządów płciowych. Znalazły się tam także narzędzia do zadawania wyrafinowanych tortur. I chyba nie przez przypadek. Okazuje się więc, że da się coś więcej wymyślić.

Ma po tysiącokroć rację Ćwiek ostrzegając przed atrofii uczuć i zwyrodnieniem pewnych zwyczajów, gestów czy form. Ale ma też rację francuski pisarz Jean Cau, który w „Nouvelles Litterai-

res” bije na alarm, gdy na północy i zachodzie Europy fala seksualizmu i pornografii przybiera coraz potężniejsze rozmiary. Ludzie stają się zbiorowiskiem ciał, a ciała stają się mięsem.

„Naziści w obozach koncentracyjnych — pisze Cau — zabawiali się nieraz urządzaniem apeli więźniów, którym kazali się rozbiierać do naga i trwać tak wśród padającego śniegu lub w słońcu, nago jakby byli robakami. Więźniowie byli dla nich istotnie mięsem. Niczym innym jak ułanem tylko mięsem, dobrym do zabijania, ćwiartowania, do torturowania i palenia”.

Niechże się nam grzecznie zabawiają Izolda i Tristan dwudziestego wieku, których Jean Cau posyła do łóżeczka.

— Czy masz globulkę, Izoldo?

— Tak, Tristianie.

Oby im się tylko nie przyśniły narzędzia do zadawania wyrafinowanych tortur pokazywane na kopenhaskiej wystawie.

Po Sejmiku Siłaczek i Judymów

BRONISŁAW GOLEBIOWSKI

Dawna i nowa inteligencja

(Fragment referatu)



Prezydium Zjazdu

Fot. A. Wach

Dzień 18 lutego br. stał się niejako świętem społeczników województwa łódzkiego. Tego właśnie dnia prawie stu działaczy społecznych Ziemi Łódzkiej, spotkało się w łódzkim klubie ZNP, ażeby w atmosferze niemal kameralnej wymieniły poglądy i doświadczenia, zaprezentować swój dorobek, podzielić się wątpliwościami i trudnościami swej pięknej, bezinteresownej a jakże potrzebnej pracy. Była to oczywiście szczupła garstka osób reprezentująca wielką rodzinę Siłaczek i Judymów naszego terenu.

Spotkanie otrzymało nazwę: „Pierwszy Zjazd Siłaczek i Judymów Ziemi Łódzkiej”. Obradom przewodniczyli: Jan Kowalski i Adam Dąbrowski. Wzięli w nim udział nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, młodzi rolnicy, działacze kulturalni z miast, miasteczek i wsi całego województwa. Każdy z uczestników spotkania leży gitymował się większym lub mniejszym dorobkiem na niwie społecznej. Nic więc dziwnego, że wachlarz omawianych problemów był szeroki i wszechstronny, tak zresztą jak szeroki i wszechstronny jest zasięg ich działalności. Zastanawiano się nad sytuacją i pozycją społecznika w środowisku. Większość wyrażała opinię, że praca ich jest właściwie oceniana przez otoczenie i doceniana przez władze. Rzadko kto z obecnych na sali społeczników działa w pojedynkę, większość pracuje w oparciu o program i ramy jakiejś organizacji. Miał czas ofiarników, indywidualistów, niemniej indywidualna aktywność jednostki jest niezbędna. Jednym z niepokojących objawów jest okresowe zaangażowanie społeczne dziewcząt wiejskich, młodych nauczycielek, przewodniczących kół ZMW itp. Pracują z reguły społecznie do momentu wyjścia za mąż. Z chwilą założenia rodziny przeważnie rezygnują ze społecznego działania.

Dr Dyzman Krasoń z Radomska podjął problem młodych lekarzy pracujących na wsi. Przychodzą oni do pracy na nowe placówki pełni zapału, szybko jednak ten zapał mija i to nie zawsze z ich winy. Po dzień dzisiejszy pokutuje na wsi nieufność do lekarzy społecznych. Nie jest to na pewno zjawisko pocieszające, tym bardziej, że rola lekarza jako krzewiciela higieny na wsi jest bardzo duża. Sprawa higienicznego trybu życia i odżywiania się ludności wiejskiej jest nadal otwarta.

Podkreślić należy, że nie tylko dyskusja na tym spotkaniu była elementem dominującym. Przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMW, Adam Dąbrowski, omówił rolę młodej inteligencji wiejskiej, skupionej w szeregach organizacji. Doc. dr Bronisław Golebiowski wygłosił bardzo interesujący referat pt. „Zmierzch czy renesans Siłaczek i Judymów” (fragment referatu drukujemy obok).

Na uwagę zasługuje dość duże zainteresowanie sejmikiem, którego sens jest w tej chwili wymierny w kategoriach raczej moralnych niż materialnych, niemniej wierzymy, że będzie miał w przyszłości skutki konkretniejsze, choćby w postaci zwiększonej dynamiki działania poszczególnych ludzi, uczestniczących w obradach. Zainteresowanie sejmikiem wyraża się również m. in. i w tym, że obok organizatorów wzięli w nim udział przedstawiciele KW PZPR oraz WK ZSL, a także ZLP.

Redakcja „Ogłosów” jako inspirator i współorganizator spotkania wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMW dziękuje tym wszystkim, którzy inicjatywę poparli nie tylko formalnie, a więc przede wszystkim Wydziałowi Kultury PWRN, Związkowi Zawodowemu Pracowników Służby Zdrowia, Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, Przedsiębiorstwu Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” oraz Wojewódzkiemu Związkowi Gminnych Spółdzielni.

Wyrażamy nadzieję, że bogate tradycje społecznikowskie Ziemi Łódzkiej wzbogaciły się o jeszcze jeden ważki element i że spotkania tego typu będą odbywały się również w przyszłości. Wszystkim działaczom społecznym Ziemi Łódzkiej życzymy powodzenia w ich ofiarnej pracy, dalszych sukcesów i wytrwałości oraz zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku.

RED.

Pojęciem inteligencja określamy od połowy XIX wieku warstwę ludzi wykształconych, zajmujących się zawodowo pracą umysłową. Na ziemiach polskich w warunkach zaborów warstwa ta powstawała z „wysadzonych z siodła” szlachty i kształtującej się klasy burżuazyjnej. Nie była też inteligencja nigdy samodzielną siłą społeczną, lecz zawsze była podzielona na różne orientacje i grupki zgodnie z podstawowymi konfliktami epoki. Obyczaje, tradycje, sposób życia i rodzaj pracy uzależniały bowiem inteligencję od klasy posiadającej, czy raczej archipelag instytucji w morzu niewoli narodowej — pielęgnowania wartości kultury, których nie pielęgnowały formalne instytucje państw zaborczych: języka, obyczaju, tradycji historycznych, więzi narodowych, symboli tych więzi itp. Tworząc kręgi współpracowników i towarzystwa społeczno-kulturalne, salony i imprezy lokalne, a z czasem całe ruchy społeczno-kulturalne, stanowiły one swoiste namiastki instytucji, które mogłyby powstać tylko we własnym narodowym państwie.

Dawna inteligencja to nie tylko warstwa społeczna, to również, dzięki rozwinętemu ruchowi społeczno-kulturalnemu, swoista instytucja, czy raczej archipelag instytucji na morzu niewoli narodowej — pielęgnowania wartości kultury, których nie pielęgnowały formalne instytucje państw zaborczych: języka, obyczaju, tradycji historycznych, więzi narodowych, symboli tych więzi itp. Tworząc kręgi współpracowników i towarzystwa społeczno-kulturalne, salony i imprezy lokalne, a z czasem całe ruchy społeczno-kulturalne, stanowiły one swoiste namiastki instytucji, które mogłyby powstać tylko we własnym narodowym państwie.

Drugorzędą rolę grał w tym wypadku zawód. Ważne natomiast było wykształcenie i przynależność do towarzystwa ludzi, pielęgnujących kulturę duchową jako jedyną widomą, niezniszczalną cechę trwania i rozwoju narodu. W tym sensie była to warstwa panująca nad kulturą narodową.

Ta swoista forma „panowania nad kulturą” wytwarzała, na tle niedorozwoju ekonomicznego, słabość burżuazji i sychlikowości szlachty jako klasy, u sporej części inteligencji, przekonanie, że sama istota na rodu i kultury tkwi właśnie w niej. Stare szlacheckie to przekonanie zostało przetransponowane na nową warstwę społeczną. Nie przyjęło się ono powszechnie, dało jednak w efekcie zjawisko „inteligentkiego getta” wraz z jego uzurpatorską i antydemokratyczną tendencją do — cytu-

jąc za J. Chałasińskim — „zmonopolizowania kultury umysłowej, wykształcenia i nauki, do izolowania jej we własnym środowisku, ponieważ zachowanie ekskluzywnego, ary stokratycznego charakteru kultury umysłowej to był warunek utrzymania społecznej przewagi inteligencji w społeczeństwie”.

Dwudziestolecie międzywojenne ukazało fiasko tej koncepcji „monopolu na kulturę” w podwójnym sensie. Burżuazyjno-szlacheckie państwo nie liczyło się zbytnio z warstwą inteligentną, której bez żenady w kulturze klasowym rolę służebną ideologicznie i kulturalnie. Narastające ruchy polityczne mas ludowych (ruch robotniczy i chłopski), sięgając po kulturę narodową jak po swą własność, dawały inteligencji społecznikowskiej ogromną możliwość kontynuacji jej roli nosiciela kultury, wszakże pod warunkiem samoidentyfikacji inteligenta z generalnymi celami klasowymi tych ruchów. Siły klasowej w oparciu o względne, specyficzne „panowanie nad kulturą”, wyniesione z XIX wieku, inteligencja nie stworzyła i stworzyć —



Rys. H. Matisse

rzecz jasna — nie mogła, choć złudzeń było co niemiara. Tym boleśniejszych złudzeń, że składała się ona głównie z zawodów nieprodukcyjnych, a ta cecha sprzyjała jej względnej izolacji od rzeczywistych przyczyn problemów i antagonizmów targających narodem.

Społeczna rola poszczególnych grup inteligencji była bardzo różna. Lwowski kongres pracowników kultury (1936 r.) i antysanacyjny, demokratyczny nurt wśród nauczycielstwa są przykładami odchodzenia od tradycyjnej, służebnej roli inteligencji wobec klas posiadających.

W czasie II wojny światowej zgineło około 25 proc. ludzi wykształconych, których w pierwszym rzucie dosięgały zbrodnicze akcje okupanta. Polska Ludowa stanęła wobec problemu powołania do życia prawie z gruzów zupełnie nowej warstwy inteligencji. Założono od początku, że powinna to być inteligencja wywodząca się z klas pracujących, blisko z nimi związana, wyspecjalizowana w większości w zawodach produkcyjnych, odrzucająca zdecydowanie postawy wywyższania się i izolacji w stosunku do klasy robotniczej i do chłopów, podporządkowana ich interesom i ideologii.

Obecna struktura społeczna inteligencji zgola nie przypomina tej warstwy z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

W ostatnich latach udział inteligencji i pracowników umysłowych w ogólnej liczbie zawodowo czynnych wyniósł około 30 proc. W 1966 roku liczba zatrudnionych w gospodarce społecznej wynosiła 8.940 tysięcy pracowników, w tym 2.850 tysięcy pracowników umysłowych, co stanowiło prawie 32 proc. ogółu zatrudnionych. Największą liczbę pracowników umysłowych zatrudnia przemysł. W 1965 roku na 1000 robotników przypadało 107 pracowników inżynieryjno-technicznych. W samym przemysle w tymże roku przypadało 115 inżynierów na 1000 pracowników fizycznych, a już w następnym 1966 roku — 119 inżynierów na 1000 robotników.

Sama kwestia inteligencja, tzn. kwestia odrębnej warstwy kulturalnej jako problem społeczny i polityczny przestała w dużym stopniu istnieć. Była ona czasem natomiast sztucznie stwarzana. Marzec 1968 roku był klasycznym przykładem rewizjonistycznej ekwilibrystyki, w której do celów politycznych nadużywano mitu inteligencji, licząc na to, że na hasło „Dziady” Mickiewicza — odezwie się wśród milionów ludzi z wyższym wykształceniem so lidarny obrońca rzekomo szarganej przez państwo robotników i chłopów świętości narodowej.

Inżynierowie, lekarze, technicy, nauczyciele, ekonomiści, architekci nie dali się nabrać. Czyżby byli nie czuli na wartości kultury narodowej? Nie bardziej mylnego, niż taki wniosek. Są oni po prostu blisko, a w każdym razie daleko bliżej klas pracujących, niż była kiedykolwiek inteligencja w Polsce jako całość.

Kultura jest potencjalnie i prawie na równi własnością i przedmiotem kultury inżyniera i robotnika, nauczyciela i nowoczesnego rolnika. Jest własnością i wartością wspólną, ogólnonarodową.

Znikł więc tradycyjny wyróżnik inteligenta jako człowieka z racji wykształcenia jedynie w pełni zdolnego do obcowania i współtwórczego uczestnictwa w całości kultury narodowej.

MIECZYSLAW M. SZARGAN

„Obłok w spodniach” czyli człowiek pełen bólu

Powiem od razu — „Obłok w spodniach” Włodzimierza Majakowskiego w wykonaniu Zygmunta Marczewskiego zrobił na mnie duże wrażenie. Marczewski należy do tego typu aktorów o których można wszystko powiedzieć, tylko nie to, że są nudni. Aktorstwo Marczewskiego jest pro wokujące. W czym się te prowokacje wyrażają? Sądzę, że przede wszystkim w szorstkiej, grudziastej osobowości aktora. Marczewski nie ma w sobie nic aktorskiego, nie jest mankieciarzem (mankieciarz to nie taki artysta, co no si śnieżnobiałe mankiety, ale ten,

co z mankietów ma zbudowaną duszę).

Na estradę wchodzi zwalisty, z zadatkami na brzuszka, człowiek, twarz chmurna, brzydka, nieufna. Nim jeszcze zacznie mówić, czuje się, że to wchodzi nie aktor, który za ileś tam setek odklepie poemat Włodzimierza Majakowskiego, ale Człowiek pełen bólu. Marczewski utożsamia się z Majakowskim, a jednocześnie Majakowskim nie jest. Mówi o miłości tak, jakby on o nią sam zebrał, z Bogiem wadzi się nie Majakowski, a Marczewski. Gdy aktor mówi fragment poematu, w którym poeta zwraca się do

nędznych rymopisów, którzy rymami przyskają, warzą zupkę liryczną, to przekazuje nam swój protest przeciwko wierszom, które, jak to zauważył Różewicz (ogłoszone w tygodnikach), ulegają rozkładowi w ciągu dwóch, trzech godzin.

Występ trwa godzinę. Nie będę wypisywał truzimów, że forma, którą wybrał sobie aktor do swoich rozmów z widownią, jest arcy trudna. W takiej sytuacji aktor jest jak szermierz, zada celne trafienie, zapala się światełko, chybi, schodzi pokonany. Marczewski pokonany nie zszedł. Wiele partii poematu powiedział z prostotą grani-

czącą z językiem potocznym, nie roniąc przy tym nic z pięknej i wielkiej poezji. Wydaje mi się, że gdyby uniknął pewnych naturalizmów widocznych w geście, w porcie mimiki, gdyby jeszcze bardziej zaufał poezji, rezygnując z chwytów czysto teatralnych, jak choćby z zamarkowania telefonicznej rozmowy z matką, z siadania przy stole, byłby jeszcze bliższy prawdzie, której dotknął swoja nie banalna aktorska osobowością. Prawdzie tej na imię — Włodzimierz Majakowski.

W trosce o sprawy 400 tysięcy kobiet



Dalszy ciąg ze str. 1

— Pozycja i ranga kobiet w naszym przemyśle jest niewątpliwie wysoka a wynika to choćby z faktu, że kobiety wnoszą duży, często decydujący wkład pracy w wyniki działalności produkcyjnej i ekonomicznej przedsiębiorstw. Podstawowa większość kobiet pracuje bezpośrednio na stanowiskach produkcyjnych. W takich np. zawodach jak: prządka, tkaczka, szwaczka itp.

O rosnącej pozycji zawodowej kobiet decyduje też ciągle podnoszący się poziom kwalifikacji, jaki obserwujemy wśród pracowni naszego przemysłu. Coraz więcej kobiet zajmuje odpowiedzialne stanowiska kierownicze wydziałów, techników, mistrzów, brygadystów. Znaczący przy tym trzeba, że wypełniają one swoje obowiązki nie gorzej, niż mężczyźni. Występują jednak w dalszym ciągu, powiedzielibym pewne bariery tego awansu. Np. niewiele jest kobiet zajmujących stanowiska dyrektorów zakładów — takie przypadki to właściwie unikaty, nie mówiąc o innych stanowiskach kierowniczych. Problem ten jest często tematem dyskusji zwłaszcza wśród działaczek społecznych i związkowych. Nie jest on łatwy. Przyczyny są złożone. Tkwią one jeszcze z pewnością w starym tradycyjnym sposobie myślenia i nawykach, które nie pozwalają mimo respektowania zasady równouprawnienia widzieć w kobiecie równorzędnego partnera do awansu także na stanowiska kierownicze. Niezależnie od tego występują także niekiedy zjawiska swoistej samoobrony kobiet posiadających nawet wysokie kwalifikacje zawodowe przed ewentualnym awansem. Jest to podyktowane różnymi obawami, zawierającymi się w pytaniu: czy podolał nowym obowiązkom i czy pogodzę je z ciężkimi na mnie poważnymi funkcjami i obowiązkami rodzinnymi? Myślę, że jest to więc sprawa z jednej strony klimatu społecznego zaufania, z drugiej zaś wiary w swoje możliwości oraz odciążania kobiet w różnej formie — chodzi tu głównie o usługi, odpracowanych i absorbujących je bardzo zajętych domów.

Trzeba też podkreślić wyraźną aktywizację społeczną kobiet. Znacząca się to w coraz szerszym u-

dziale kobiet w pracach samorządów robotniczych. One stanowią też 50 procent składu władz Zarządów Okręgowych naszego Związku i uczestniczą aktywnie w pracach w Radach Zakładowych, a poprzez liczny udział w działalności zakładowych komisji ds. kobiet pracujących skutecznie oddziałują na rozwój różnych form akcji i świadczeń socjalnych. Aktywnie także współuczestniczą w organizowaniu życia kulturalnego w zakładach i w związkowych placówkach kulturalno-oświatowych.

— No właśnie, jak ocenia Pani cechy kobiety-pracownika?

— Kobiety są pracowite, gospodarne, ambitne, mają zmysł praktyczny, duże poczucie obowiązku i współodpowiedzialność za wyniki zakładu. W końcu fakt, że nasz przemysł wykonał zadania za ubiegły rok z nadwyżką i przed terminem, oraz z roku na rok poprawia swoje wyniki ilościowe i jakościowe, jest w dużym stopniu zasługą kobiet.

Warto podkreślić wyraźne dążenie kobiet do podnoszenia kwalifikacji zawodowych. Mamy coraz więcej, szczególnie wśród młodszego i średniego pokolenia kobiet wykształconych np. techników i inżynierów. W grupie robotniczo do lat 24, osiemdziesiąt procent ma zasadnicze wykształcenie zawodowe.

Ale dokształcanie wiąże się z wyrzeczeniami osobistymi, z przyjęciem na siebie dodatkowych obowiązków do tych wszystkich, których i tak jest niemało. A więc powstaje niebłahy problem pomocy i opieki nad kobietami pracującymi a jednocześnie podnoszącymi kwalifikacje zawodowe. Jest to jeden z głównych punktów pracy naszego Związku, bardzo ważny i mający wiele aspektów.

Chodzi tu o organizowanie różnych form pomocy w nauce a także o sprawniejszą organizację życia domowego, lepszą opiekę nad dzieckiem, podniesienie jakości usług i rozszerzenie ich zakresu, wreszcie o właściwą organizację wypoczynku.

— Czy Związek podejmuje jakieś konkretne inicjatywy dla ułatwienia życia swym członkiniom?

— Można by powiedzieć, że wszystko co jest przedmiotem naszej działalności, a więc dążenie do modernizacji i unowocześnienia naszego przemysłu, poprawy warunków pracy, podejmowanie wysiłków

w zakresie rozwoju świadczeń socjalnych — dotyczy w głównej mierze kobiet, które stanowią podstawową część naszych załóg. Jest to oczywiste. Uwzględniamy także specyficzne potrzeby pracowni. Ostatnio w warunkach pracy zaszły duże zmiany na lepsze, w tym także w zakładach starych, choć nie wszędzie w jednakowym stopniu. Polepszono organizację stanowisk pracy, nastąpiła poprawa w stanie urządzeń higieniczno-sanitarnych. W wielu zakładach wygospodarowano kąpielnie na spożywanie posiłków, podniesiono estetykę miejsca pracy. Problemem, który ciągle jeszcze nie jest właściwie rozwiązany w wielu zakładach jest sprawa odzieży robotniczej. Słuszne są niekiedy uwagi kobiet, że odzież ta jest nieestetyczna i niepraktyczna.

Czynione są wysiłki aby ten stan rzeczy poprawić, potrzebne tu jest jednak większe zainteresowanie i troska o te sprawy ze strony zakładów pracy. Kobiety nie jest przecież obojętne w czym chodzi przez 8 godzin dziennie. Sprawy te, przy dobrych chęciach i odrobinie pomysłowości można by lepiej i skuteczniej rozwiązywać.

Poważną naszą troską są również zagadnienia socjalne. Mimo stałego postępu w tej dziedzinie, wciąż jeszcze nie jesteśmy w stanie sprostać dużym potrzebom. Rozbudowa ośrodków wczasowych, szczególnie ich najpopularniejszej formy — wczasów rodzinnych, ośrodków kolonii letnich i zimowych — to jedno z najważniejszych zadań Związku. Systematycznie wzrastają środki przeznaczone na rozwój tej bazy. Mamy nadzieję, że nadchodzący plan 5-letni przyniesie poważną poprawę stanu bazy socjalnej i kulturalnej w naszym przemyśle. W tej chwili największy nacisk kładziemy na właściwe wykorzystanie istniejącej, unowocześnienie jej, bardziej racjonalne zagospodarowanie.

— Co jest Pani zdaniem największą bolączką współczesnej kobiety?

— Duży zakres obowiązków przy wciąż niedostatecznie rozwiniętym zakresie i poziomie usług, oraz dość ograniczone jeszcze możliwości zorganizowania bardziej pieczołowitej opieki nad dzieckiem, szczególnie w wieku szkolnym, w placówkach kulturalnych oraz świetlicach. Sprawy te są nam znane. Darujmy więc sobie roztrząsanie tego tematu i ży-

czmy sobie szybszego postępu w tej dziedzinie.

— Słusznie. A jaką ze spraw uważa Związek w tej chwili za najbardziej palącą?

— Jest ich wiele, o nich już mówiłam. Jedną z ważnych spraw, o której warto wspomnieć, która stoi ostatnio w centrum uwagi Związku, są problemy zdrowia. A więc zapewnienie lepszej i skuteczniejszej opieki lekarskiej a przede wszystkim rozwoju i doskonalenia działalności profilaktycznej w zakładach pracy. W sprawie tej współdziałamy z administracją oraz przemysłową służbą zdrowia.

Wiąże się z tym wiele problemów a wśród nich: lepsza organizacja i wyposażenie placówek przemysłowej służby zdrowia, zwiększenie ilości kwalifikowanych kadr (lekarzy i pielęgniarek). Mamy w tej dziedzinie trudności, uważamy jednak, że można wiele zrobić i udoskonalić, co przyniosłoby zmianę na lepsze. W tym też kierunku będziemy skupiać nasze wysiłki i działania.

Ważną sprawą o charakterze ogólnospołecznym, którą wysuwamy na czoło wszystkich naszych działań jest przyspieszenie postępu w dziedzinie gospodarczej. Wiąże się to z zapewnieniem pomysłowej realizacji zadań 1970 r. ujętych w narodowym planie gospodarczym oraz w programach poprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych. W tej sprawie dużo będą mieć do powiedzenia kobiety.

— Czy Związek może zapowiedzieć dziś coś, co ucieszy jego członkinie?

— Choć niemało mamy trosk, w życiu włókniarek jest wiele powodów do zadowolenia. Potrafimy się cieszyć z różnych naszych, nawet małych sukcesów w pracy, w rodzinie. Odpowiadając na pytanie powiem to, co z pewnością zainteresuje szczególnie pewną grupę kobiet zatrudnionych w branżach lnianej, filcowej i skórzaney. W

niewielkim stopniu dotyczy to łodzianek. Po likwidacji III zmiany w soboty przystępujemy, jeszcze w tym roku, do skrócenia czasu pracy dla około 18.000 pracowników, zatrudnionych w tych branżach na stanowiskach szkodliwych i uciążliwych.

— Czy to szczęśliwy przypadek, że na czele władz Związku od sześciu bodajże lat stoją kobiety?

— Chyba to trudno nazwać przypadkiem, a czy szczęśliwy, to już nie ja mogę na ten temat mówić.

— A jak się czuje kobieta, która ma pod swoją opieką 400 tys. kobiet, nie mówiąc już o tych podopiecznych z racji innych funkcji społecznych, w dodatku jest Pani także żoną i matką?

— No właśnie, chciałoby się w tym miejscu westchnąć, ale nie wypada. Na szczęście jest to praca, która mnie interesuje, a włókniarskie sprawy były zawsze moimi sprawami, z zawodu jestem przecież włókniarką. I naprawdę mam szczerą satysfakcję kiedy widzę efekty naszej działalności, kiedy dostrzeżę się jej konkretne rezultaty.

— A co sądzi Pani o dniu 8 marca?

— Wolałabym, aby był on nie tylko dniem składania życzeń i wręczania kwiatów, ale stał się też okazją do załatwiania konkretnych spraw rozwiązywania konkretnych problemów, które nam leżą na sercu. Bo w gruncie rzeczy, tak między nami mówiąc, nie istnieją „problemy kobiet”. To co nazywamy tym mianem, to są problemy ogólnospołeczne, ich rozwiązanie leży w najszerszym pojętym interesie społecznym, co zależy — w równym stopniu od kobiet, jak i od mężczyzn.

ROZMAWIAŁA:

TERESA WOJCIECHOWSKA

POLONICA

JESZCZE O LEMIE

Wydana niedawno w Związku Radzieckim książka polskiego pisarza Stanisława Lema pt. „Summa technologiae” spotkała się tam z ogromnym zainteresowaniem. Najpoważniejsze czasopisma radzieckie omówiły ją na swych łamach, ale rozważaniom wokół niej ciągle jeszcze nie koniec. Najlepszym tego dowodem wnikliwy szkic krytyczny pióra Z. Alpera, który został opublikowany w 12 (grudniowym) zeszytach miesięcznika „Nowyj Mir” z ubiegłego roku. Autor wychodzi z założenia, że twórczość Lema często jest odczytywana niesłusznie, uważa się go bowiem raczej za fantastę niż futurologa. Tymczasem, dowodzi Alper „w książce Stanisława Lema, niewątpliwie spotykamy się z fantazją, ale z fantazją jako elementem naukowych hipotez, nie zaś fantazją artystycznego utworu, gdzie obraz dominuje nad logiką, choćby się na niej opierał”.

W zakończeniu swego szkicu autor wyraża nadzieję, że w Związku Radzieckim szybko ukaże się przekład najnowszej książki

Lema pt. „Filozofia przypadku”, którą niedawno wydano w Polsce.

K. F.

ŚMIERĆ FRANCUSKIEGO POLONISTY

Niedawno czytaliśmy wiadomość o śmierci byłego dyrektora Instytutu Francuskiego w Warszawie, prof. Francasteł, entuzjasty Polski i Polaków. A oto z Lille nadechłodzi wiadomość, że zmarł w tym mieście prof. Maxime Herrman, znakomity slawista, dziekan Wydziału Humanistyki na Uniwersytecie tego miasta w latach 1945-1952. Urodzony w Haubourdin, w departamencie „Nord”, w 1888 roku, prof. Maxime Herrman wykładal najpierw język niemiecki w szkołach średnich w Valenciennes i Lille. Potem zajął się slawistyką, szczególnie polonistyką i rusycystyką. W 1938 roku wydał ciekawą książkę pt. „Dostojewski et Przybyszewski”, a w 1943, jako ukoronowanie swych studiów, obszerną „Historię polskiej literatury od początków po rok 1961”. Był ostatnio honorowym dziekanem Wydziału Humanistyki w Lille. Miał zarówno Legię Honorową, jak Palmy Akademickie oraz order „Polonia Restituta”.

Literatura i polityka

Dalszy ciąg ze str. 1

zyskał sobie miano „literatury obliczeniowej”. Jaki jest pański stosunek do tych prób?

JERZY PUTRAMENT: Każdy człowiek w Polsce na swój sposób przeżył wydarzenia roku 1956, jest więc zrozumiałe, że problem ten chciałaby udźwignąć także literatura. Ale wydaje mi się, że może

nigdzie w sposób tak wyraźny, jak właśnie w reakcji na XX Zjazd partii radzieckiej przez środowisko literackie, sprawdza się trafność formuły W. Gomułki, który w Lublinie akcentował konieczność posiadania choćby minimum mądrości politycznej u pisarza, który podejmuje odpowiedzialny temat. Dla mnie, dla mego pokolenia, XX Zjazd był ogromnym przeżyciem, przez długi okres czasu nie umia-

łem go pojąć, próbowałem znaleźć konieczny dystans. Może dlatego, że nasi teoretycy i praktycy polityczni za mało dali nam podstaw dla zrozumienia tak skomplikowanego procesu jak mechanizm kultu jednostki. Próby opisanego procesu przez pisarzy także nie wyszły poza frazesy. W środowisku pisarzy podnosiły się głosy, że dopóki nie przebrniemy przez tematykę kultu jednostki, to naszej literatury nie posuniemy naprzód. Rozprawienie się z tą problematyką stało się więc ambicją wielu pisarzy podejmujących ten temat gorączkowo, pośpiesznie. Ale wielkiego tematu literackiego nie można przecież po prostu odfajkować, w celu pójścia dalej i jestem przekonany, że ta sprawa, w sposób mniej formalny i pośpieszny, wracać będzie na karty książek. Bo- wiem jedną z szans tematu polity-

cznego, zwłaszcza rozrachunkowego, jest próba jego historycznego zobiektywizowania. Wymaga to dużej powściągliwości w wydawaniu sądów a docieklowości w opisie zjawisk. Przyznam się, że w naszej literaturze „obrachunkowej” denuruje mnie płytkość ocen. A przecież ocena zjawisk musi wynikać z wnikliwej analizy procesów. Nie może mnie też zadowolić literatura posługująca się alegorią lub parabolą, zawsze dostrzegam w niej fałsz. Taka już jest dola parabolisty, że musi zafalszować albo rzeczywistość odległą, w której pozornie umiejscawia akcję swojej książki, albo też rzeczywistość współczesną, gdy poprzez aluzję odwołuje się do doświadczenia osobistego czytelnika. Historia nie powtarza się nigdy. Aparat władzy jest dziś zupełnie inny niż w okresie cesarów i poprzez opisywanie

zjawisk społecznych starożytności doprawdy niewiele można powiedzieć o rzeczywistości współczesnej. Tymczasem celem powieści politycznej jest analiza faktów niepowtarzalnych konkretnej rzeczywistości.

KONRAD FREJDLICH: Jak zatem ocenia pan sam swoje dokonania w tej dziedzinie?

JERZY PUTRAMENT: To, co powiem, nie wynika z jakiejś przekory, bo, widzi pan, pisarz rzadko jest zadowolony ze swoich książek. Dostrzeżę w nich braki, podobnie jak dostrzeżę niedostatki rzeczywistości, w której mu wypadło żyć. Jestem autorem kilku powieści politycznych, a ten gatunek literacki, znajduje się pod szczególnie silną presją rzeczywistości. Dlatego też w moich powieściach ten napór czasu odcisnął się silnym piętnem. Zdaję sobie sprawę z niedoskona-

Śnieżna zawiewa trwała całą noc, a nad ranem wcale nie przygasa. Dymilo śniegiem, że drogi się nie rozróżniało. A jednak do Wiskitna dojechałem. Służba drogowa stara się. Inna sprawa, że musi, bo do Wiskitna chodzą z Łodzi autobusy. Pusto na wsi. Ni auta, ni trak tora. Tylko konie ciągną wozy przez tartą w śniegu koleiną. Wiem już, że do Giełzowa nie dojadę z całą pewnością. Zaspę po kolana. Tak wszystko pozawiewane, że z trudem się rozróżnia gdzie szosa, a gdzie pole.

Zaglądam więc do gromadzkiej rady. Przewodniczący wejrzał z cieka wością:

— A pan względem czego, że przygnało w taką psią pogodę?

— Idzie o Adamskiego.

Przewodniczący uniósł brew, zmarzył czoło, chcąc na gwałt coś tam sobie wygrzebać z pamięci. Nie wyszło. Spojrzał bezradnie na sekretarza. Ten miał lepszą pamięć do na zwisk.

— Adamski? To ten, co to porąbał w Giełzowie człowieka, no Czestawa, jakże mu tam...

Przewodniczący rozjaśnił się. Wąka zano mu trop, trafił do domu, mógł już to i owo powiedzieć. Słuchałem z zainteresowaniem, bo też przypadek tylko pozornie należał do banalnych. Wyczuwałem, że kryją się za nim nie byle jakie treści natury psychologicznej. Jak nisko człowiek może upaść? Jaką nad nim władzę może zdobyć mała szklaneczka po mu szardzie.

Był wieczór. Jak to na wsi. Robota skończona, trzeba by się jakoś rozzerwać. Adamski z kumpami urządzili, że najlepiej by było jednego sobie gołnąć. Ktoś proponuje skład kowe. Zgoda, niech będzie. Adamski łapie butelkę i trąbi gdzieś na boku sam jeden. Pozostali są głęboko obrzenni. Takich rzeczy się nie robi. To już szwindel i ostatnie draństwo.

Więc Adamski, żeby załagodzić, prosi kumpli do siebie, do chałupy w Giełzowie. Ida. Ale na progu Adamski odwraca się. Co to, to nie, wszyscy takich nie zaprasza, Gieniek może iść za nim, ale reszta ma zostać na podwórzu, bo jak kto ośmieli się otworzyć drzwi, to dostanie siekierą po łbie. Gieniek poszedł do izby z Adamskim, a reszta stała, gapiąc się tęsknie w drzwi, za którymi chlano dobrą, gatunkową ponoć wódkę. O nie, tego już za wiele. Czestaw nie wytrzymał nerwowo, podszedł i drzwi otworzył. Wtedy wyłazł Adamski z siekierą w rękę i, bez słowa,

jednak zwyczajna nie jest. Uderza jej strona psychologiczna. Na jakiegoś dno może stoczyć się człowiek, jeśli z siekierą w rękę stoi na progu i broni kumplom „dostępu do kieliszka”. W tym kieliszku jest coś dla niego cenniejszego, niż nawet ludzkie życie. Jest wódka. Dla wódki go tów jest zatłuc nawet przyjaciela. Gotów jest popełnić każdą zbrodnię. Wódka to ten skarb najcenniejszy ze wszystkich. Wara, bo... ukatrupię. To już chyba ten ostatni szczebel tuż nad przepaścią. A może to już przepaść?

Przewodniczący wejrzał na mnie z ukosa.

— Sprawa zamknięta, Adamski w ciupie, o co jeszcze chodzi?

— O problem.

— O jaki znów problem?

Rozmowa nieco się rwala, szła jak po grudzie. Tyle się jeszcze dowiedziałem, że w Wiskitnie kobiety są górą. Dawno sprostregły, gdzie pies pogrzebany. Jakie wygadane, jakie rezolutne. Gospodę trzeba zamknąć na cztery spusty i będzie spokój we wsi. Uchwycyli się tej myśli i nie spoczęły póki nie postawiły na swoim. No i teraz jak kto chce w Wiskitnie czym przekąsić i gardło przez płukać, musi tarabanić się 9 kilometrów do Rzgowa, albo jechać autobusem do Łodzi. Bliżej żadnej gospody, karczmy ani zajazdu nie ma i już. I chyba nieprędko będzie. Gospodynie z Wiskitna są zorganizowane jak rzadko. Zakrzyczą każdego. Czy jednak nie dałoby się prowadzić we wsi gospody bez alkoholu? Przecież by się przydała... Co? Bez alkoholu? Panie drogi, taka gospoda spłajbowalaby w ciągu jednego tygodnia...

— Gospody nie ma. Czy to oznacza, że we wsi pije się już mniej?

Przewodniczący podrapał się w brodę.

— Co się tyczy picia alkoholu, to najlepiej już o tym można się wywiedzieć w sklepie z monopolem...

Sklep jak na wiejskie warunki jest nawet nieźle zaopatrzony. Po lewej stronie, półki z artykułami żywnościowymi pod ścianą. W kolejce stoi kilkanaście kobiet. Przyszły po mąkę, chleb, cukier, także różne rzeczy. Za ladą dziewczyna w białym fartuchu. Zerknęła na mnie raz i drugi. A cóż to znów za jeden? Nigdy tu nie bywał. Kontrola jaka czy co? Dziewczyna raptem rzuciła bochen chleba i pobiegła chyliciem na zaplecze po kierowniczkę. Rozglądam się. Po prawej stronie wielkie stoisko z alkoholem. Czego tu nie

JAN BABIŃSKI

GDZIEŚ GINIE CZŁOWIEK



trzyma się przed sklepem i wstąpi. Nie ma gospody, ale jest GS. Należę do wychodzą. Tyle, że taniej, bo kelnera już się nie opłaca. Chłopek sfodzi z wozu i dalej do sklepu. Nie zaszkodzi przecież jedna butelczyna na rozgrzewkę. Hm, a ile takich butelek idzie w świat między ludźmi, powiedzmy w ciągu miesiąca? Kierowniczką, która już znalazła się przy mnie, spogląda zaskoczona. Bu telek to tu nikt nie liczy. A cóż to znów takiego?... Hm, więc próbuję z drugiej strony. Proszę pani, a co z obrotem?

Kierowniczką kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— A to co innego. Mogę tyle powiedzieć, że wódek i innych takich alkoholi sprzedaje w tym sklepie za 300—350 tysięcy złotych miesięcznie.

— Ile wynosi cały obrót w tym sklepie?

— No, gdzieś 600 tysięcy złotych.

— Więc połowa to alkohol?

— Tak, na to wychodzi.

Rozmawiamy. Kobiety w kolejce przysłuchują się z widoczną uwagą. Jedna jest w futrze, rumiana, zdrowa, że hej. Druga już starsza, nie spuszcza ze mnie wzroku. Wiem o niej więcej niż ona wie o mnie. Słyszałem, że narobiła tego rabanu o gospodę. Była inicjatorką. Zbuntowała

wszystkie gospodynie i koniec końców gospodę zlikwidowano. Może i dobrze, że tak się stało? Przecież we wsi mniej teraz awantur, mniej publicznego zgorznięcia, mniej bójk i milicyjnych interwencji. Na pewno mniej demoralizacji. Czy jednak mniej wódki?

Zapytałem kierowniczkę sklepu o bimbrownie. Cicho zapytałem. Na ucho. Starsza kobieta w kolejce do słyszała. Ta w futrze też chyba to słówko złowiła, bo sam nie wiem dlaczego, ale spojrzała na mnie z jawną wrogością. Jej wzrok jakby pytał. Czego się pan mieszasz? Za czym pan tu wiesz? Starsza kobieta powiedziała krótko, że jak kto bimbrowni szuka to i znajdzie. Ale niech już lepiej szuka sam. A w ogóle to by było ciekawe wiedzieć, czy jest gdzie taka wieś w której by nie było bimbrowni?

Kobieta w futrze znowu poruszyła się niespokojnie.

Reszty dowiedziałem się potem, choć źródła nie wyjawię. Ta młoda, zdrowa, świetnie ubrana gospodyni odpowiadała już przed sądem. W jej domu odkryto dużą, można by rzec, towarową bimbrownię. Wzięła to na siebie. Prawdopodobnie, żeby osłonić męża. Zawsze to kobieta. Sąd jest wtedy łagodniejszy. Skazano ją na 3 lata, ale... z zawieszeniem.

Grzywnę, około 7 tysięcy złotych za płacila bez zmruczenia oka. Co tam, najważniejsze że chodzi się na wolności. Czy trudno wykryć bimbrownie? Słyszysz gdzieś tam śmiech. Panie drogi, starczy powąchać.

Tylko, niech bimbrownie ścigają ci, co za ściganie biorą pensje. Im wolno. Nikomu się nie narażą. Są w mundurze.

Wiesz swoje wie.

Tylko, że wieś rzadko wyjawia swe wiejskie sekrety.

Jest już poniekąd publiczną tajemnicą, że pędzenie wódki z cukru, po kątnie, pokryjomu, stało się ostatnio na wsi czymś dość powszechnym. A bezkarność jest duża. Co mi tam zrobia. Wlepią grzywnę albo i nie wlepią. Zależy. Wieś, przybytek zdrowia, fizycznej teźny, mrówczej pracy i niewzruszonych zasad moralnych. Owszem jest taka wieś. Ale nie tylko. Jest też inna wieś, która wprost nurza się w alkoholu od wczesnego ranka do późnego wieczora. Wódka podróżowała, cukier utrzymał się w cenie. Cóż to wielkiego. Starczy mały zbiorniczek, parę rurek, starczą drożdże i kapie proszę pana, że aż miło patrzeć, nie wiadomo kiedy a litra nakapie... Do mowy alkohol jest tani. Litr bimbrowego spirytusu można dostać już za 100—110 złotych. A jak zrobiony. Pa nie, palce lizać. Spokojna głowa. Lu dzie radzą sobie po swojemu.

Zwiad po Wiskitnie i okolicy przynosił jeszcze inne rezultaty.

Bimber bimbrem, dużo gorszy jest problem denaturatu.

W samym Wiskitnie mieszka kilku gospodarzy, którzy chwieją się na nogach już z pianiem koguta i chwieją się o zachodzie słońca. Trzeźwi nie są nigdy. Pijak na wsi to coś znacznie gorszego w sensie społecznym i ekonomicznym niż pijak w mieście. Bez jednego pijaka fabryka i tak będzie się kręcić. On straci. Pijak w zagrodzie to ruina gospodarki.

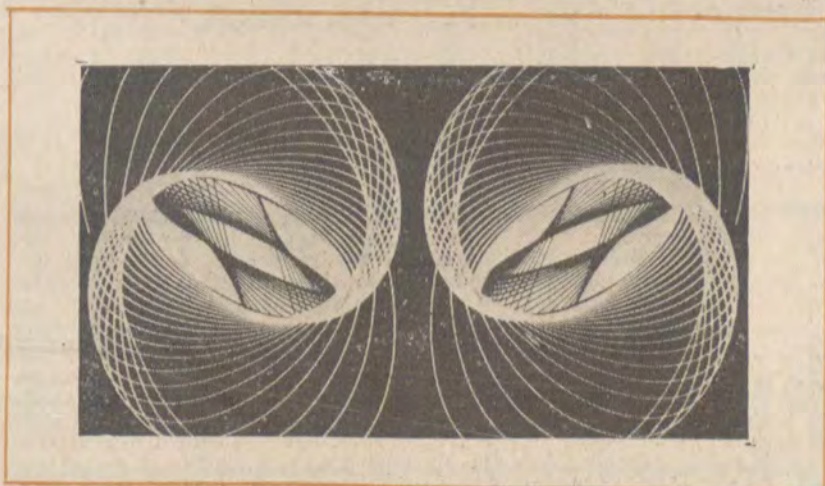
Nie zrobisz w polu, to nikt za ciebie nie zrobi. Ziemia leży odłogiem. Wszyscy na tym wtedy tracimy. Rola zapuszczona, chlew pusty, w chałupie bieda aż piszczy. Gospodarze w jednym tylko GS-owskim sklepie w Wiskitnie wydają 3—4 milionów złotych rocznie na alkohol. Założenie wodociągów na wsi kosztuje średnio półtora miliona. Przeliczmy. W co drugiej zagrodzie nie ma w Wiskitnie nawet radioodbiornika. Telewizor jest wciąż rzadkością. Przeliczmy.

Pokazywano mi w Wiskitnie rolnika, który tak samo nisko upadł jak Adamski z Giełzowa.

Może nawet upadł jeszcze niżej.

Ten rolnik jest cieniem samego siebie. Waży 30 kilogramów. Takie chucherkę, wiatr dmuchnie i wywróci ci. Dla niego nawet bimber nie jest dobry. Siega po denaturat. Ma te swoje sposoby. Bierze denaturat, od bija butelkę jednym nad podziw zręcznym ruchem i wlewa do szklanek. Ale tylko do połowy wlewa. Drugą połowę napełnia czarną kawą. Mieszka, przymyka oczy i pije. Kawa zabija odór. Nie zabija trucizny. W Wiskitnie na oczach całej wioski gięnie człowiek. Mało co już widzi. Sa ma skóra i sama kość. Adamski poszedł do wzięcia. Ten człowiek idzie do własnego grobu.

Drożdży w Wiskitnie nie ma. Nie ma ich w Pabianicach. Zabrakło też ostatnio drożdży w mieście Łodzi. To pierwszy sygnał. Ostrzegawczy. Może by więc uderzyć w dzwon? Ten alarmowy!



chwiejąc się na nogach, uderzył. Czestaw zwałł się na ziemię. Żyje. Dzięki natychmiastowej operacji w szpitalu, udało się go uratować. Adamski w więzieniu. Czeka na rozprawę.

Nie jest rzeczą dziennikarza wyrokować. Od tego jest sąd. Sprawa

ma. Są wódki gatunkowe, jugosłowiańskie koniaki, są radzieckie szampany, są nawet „ajerkoniaki”. Stoją butelki na półkach w równych wojskowych rzędach i czekają.

Ruch duży. Bo jak chłop na wozie i śnieżek na dworze, to człek za-

łości mojego „Września”, z pewnej schematyczności ukazanych postaw, ale kiedy wydawałem tę książkę, robiono mi zarzuty, że jeszcze niedostatecznie ukazałem np. rolę obcych kapitałów w Polsce międzywojennej. W klimacie tamtego czasu inna książka powstać nie mogła. Obecnie mi jest zupełnie powieść „Rozstaje”, gdyż zbudowałem ją na schematycznym przeciwstawieniu: bohaterowie dobrzy i źli. Dziś wiem, że podział na bohaterów pozytywnych i negatywnych jest uproszczeniem. Chociaż wydawca złożył mi za „Rozstaje” gratulacje, minęło kilka lat, zanim odważyłem się znowu podjąć temat polityczny. Mam tutaj na myśli moich „Pasiarzbów”, gdzie po raz pierwszy podjąłem próbę ukazania mechanizmu kultu jednostki w formie pars pro toto, oczywiście, skoro, jak pan zapewne sobie przypomi-

na, akcję osadziłem w małym miasteczku. Chciałem ukazać dramatyzm tego problemu na przykładzie parafialnego dygnitarza przeciwko któremu występuje własny syn, przy czym racje obu stron nie zawsze są czyste. Książka miała umiarkowane powodzenie.

Drugą wprawka w tym trudnym temacie były „Małowierni”, w których spożytkowałem swoje bezpośrednie doświadczenia. Interesowała mnie mechanika zmiany poglądów, moment, w którym ludzie przeobrażają się, stają się kimś innym. Ale dla tych przeobrażeń przyjąłem, jak to teraz widzę, zbyt uproszczone kryteria, widzenie jednowymiarowe, bo przecież małowierność nie zawsze jest zwykłym karierowiczostwem. U podłoża określonych ludzkich reakcji leżą złożone nierzaz przyczyny. W ten sposób doszedłem do próby powie-

ściowej, którą cenę sobie najwyższą, do „Baldyna”. Sądzę, że w tej właśnie książce doszedłem najbliższej problematyki kultu jednostki. Dla mnie jest to temat bardzo osobisty, gdyż należę do pokolenia, które wzrosło w tamtym okresie. Trzeba przy tym pamiętać, że kult jednostki może się zrodzić w warunkach ściśle określonych, że związany jest on z socjalizmem w stanie obłączenia, w społeczeństwie utrzymywanym w ciągłym zagrożeniu. Takie mini-warunki stworzyłem w swojej powieści, której akcja toczy się gdzieś na poleskich bagnach. Dookoła legendarnego wojska partyzanckiego zgromadziła się grupa sztabowa, która wykorzystuje mit dowódcy do rozwiązywania zadań, przekraczających jego możliwości zarówno fizyczne jak i umysłowe. Jak się ci ludzie powinni zachować? Co powinni robić?

Recenzje miałem po tej książce na ogół przychylnie, chociaż odniosłem wrażenie, że nie wszyscy zrozumieли tę powieść. Przekonała mnie o tym zwłaszcza dyskusja na temat „Baldyna”, zorganizowana przez pewną redakcję. Jej poziom był nie do przyjęcia, a poza tym sygnalizuje niebezpieczeństwo silnych nacisków środowiskowych na pisarzy, podejmujących tematykę tych środowisk. Tendencjom tym trzeba się przeciwstawić, bo temat współczesny nie może się zacieśniać do spraw bagatelnych, „bezkonfliktowych”.

KONRAD FREJDLICH: Problem nacisków środowiskowych jeszcze silniej ogranicza możliwości publicystyki. Zresztą tych ograniczeń, o czym pan tu przecież mówił, jest dużo więcej, bo jak mi się wydaje, temat polityczny wymaga od pisarza nie tylko doświad-

czenia osobistego, ale i osobistej odwagi. Jakże więc widzi pan szanse powieści politycznej w naszym kraju?

JERZY PUTRAMENT: Trudności, choć może w mniejszym stopniu, będą zawsze dawały o sobie znać. To nie powinno zrażać, gdyż problematyka polityczna jest nie tylko niesłychanie ważna, ale również daje pisarzowi poważne możliwości twórcze. Zresztą chyba nie sposób pojąć coś z dzisiejszego świata bez zrozumienia bardzo skomplikowanej problematyki socjalizmu. Bo socjalizm jest jednocześnie systemem gospodarczym i filozoficznym, który niesie w sobie wielką szansę dla całej ludzkości. Według tej szansy trzeba oceniać szanse powieści politycznej w naszym kraju. Gdzie dzieją się rzeczy wielkie, nie może zabraknąć głosu pisarzy.

Spotkanie z ANDRZEJEM

Zdawałoby się, że nic nas nie dzieli, oprócz wąskiego blatu kawiarmanego stolika, bo wystarczy wyciągnąć rękę, aby cię dotknąć.

Mało zmieniłeś się, Andrzej, przez tych osiemnaście lat. Wprawdzie teraz masz posiwiałe skronie, tej gorzkiej fałdy koło ust także nie było, a twoje piękne oczy są lekko podpuchnięte. Drżą ci ręce. Może pijesz? Może nie dosypiasz? Może jesteś przepracowany? Nic o tobie nie wiem i nie wiem jaki teraz jesteś i nie chcę wiedzieć. Pomimo, że — tak, to to prawda — przez długie lata nie było w moim życiu mężczyzny, który by coś znaczył, który by coś znaczył tak, jak ty. Czy wiesz dlaczego? Tak mocno przyprowadziłeś goryczą młodą miłość, aż wzbudziłeś we mnie przekonanie, że nie warto łączyć się na stałe z żadnym mężczyzną, że żadna miłość nie jest warta spokoju mojego dziecka. Bo zawsze myślałam sobie: „Jaki on byłby dla Agnieszki?” I zawsze wypadało, że za bardzo oschły, za surowy, za pobłażliwy, za obojętny, albo za mało czuły. Początkowo zastanawiałam się, jakim ty byłbyś ojcem, gdybyś z nami został. O, zastanawiałam się nad tym bardzo często, na pewno nawet zbyt często, ale to minęło.

Uśmiechasz się. Takim uprzejmym, konwencjonalnym uśmiechem. Ten uśmiech także ci pozostał. Tak uśmiechasz się do ludzi całkiem ci obojętnych. I to spojrzenie. Tak, jakbyś był nieobecny, jakby wszystko, co się dzieje w tej chwili zupełnie cię nie interesowało. Jak ja to dobrze znam. Wiadomo od razu, że jesteś tu ze mną tylko przez grzeczność, nawet nie przez ciekawość. Oto przecież należę się odrobina zainteresowania kobiecie, z którą mam dziecko, i której nie widziałam od osiemnastu lat.

— Jak się ma nasza Agnieszka?
— Masz przy tym obojętne oczy i niezmiennie ten sam uśmiech przylepiony do warg.

— Nasza? Nasza? — serce bije mi w gardle, lepiej, żebyś tego nie spostrzegł, chcę także być zimna i opanowana.

— Ty nie masz już do niej prawa, bo to jest tylko moja Agnieszka.

Dzisiaj ze spokojem wracam do tamtych dni, do dni naszej miłości. Kochałeś mnie, wierzę w to i potrafiłeś kochać. Byłam dla ciebie wszystkim, samym sednem życia. Każdy dzień, godzina beze mnie nie liczyła się w ogóle, dopiero przy mnie, dopiero z mną, dopiero obok mnie. Wierzyłam w to, czułam się oszłomiona, bezgranicznie, ogłupiająco szczęśliwa. Patrzyłam ci w oczy: były jak kawał szczęścia, jak ochlap nieba, który spadł nagle na ziemię.

Moja ciąża zmieniła wszystko. Nagle, gwałtownie i zupełnie. Od razu. Jak tylko o tym się dowiedziałeś. Wtedy poznałam ten twój uśmiech i to obojętne spojrzenie. A ja chciałam mieć dziecko. Dlatego, że z tobą, że to twoje, że kochałam cię. A także, jak to kobieta w pewnym okresie swojego życia, po prostu chciałam je mieć. I nie widziałam o tym, że wtedy kobieta zawsze postawi na swoim, jeśli tylko jest zdolna do urodzenia dziecka.

Byłam młoda, byłam zdrowa. Tylko ty, ty nie chciałeś. Mówiłeś, że nie możemy sobie jeszcze na to pozwolić, że nasze finanse, że mieszkanie — argumenty niegłupie, ale były to przecież nędzne wykrety. Potem mówiłeś, że cię oszukiwałam, że stało się to bez twojej wiedzy.

Te zarzuty bolały mnie najbardziej.
Miałeś mi za złe mój spokój — chociaż była to jedyna moja obrona, bo jedno z nas musiało być spokojne.

Miałeś mi za złe moje lzy — mówiłeś, że nic innego oprócz płaczu nie potrafie.

Miałeś mi za złe, że jestem.
Potem zaczęły się twoje późne powroty, zebrania, konferencje, wyjazdy w teren. Powoli zostawiałam sama.

Patrzyłam na siebie w lustrze, widziałam tę samą twarz, figurę, ręce, nogi, nie przecieł jeszcze się nie zmieniło. Nie zbrzydłam, jestem taka sama jak zawsze. Ale tu nie o to chodziło. Powiedziałeś mi, że nie znosisz kobiet w ciąży i małych dzieci, że masz uraz, że nie możesz się przemóc.

Oczywiście to bzdura. Rozsądny człowiek nie mówi takich rzeczy, powiedziałeś to, żeby mnie zranić, powiedziałeś to świadomie, bo wiedziałeś jak bardzo mnie dotkniesz. Nikt jeszcze nikogo nie zmusił do miłości, trudno.

Ale tak o tym mogę myśleć teraz.

Wtedy to były poszarzałe z tęsknoty dni, noce bez snu, utopione w przemokłej od lez poduszce. Niewiele brakowało, a byłabym wtedy uległa, pomimo, że kochałam już tak bardzo moją nie narodzoną jeszcze Agnieszkę. Bo nie wiem, czy znasz taką miłość, kiedy można by zdechnąć za jeden uśmiech, za jedno spojrzenie i jedno życiowe słowo. Byłam tego bardzo bliska. Ale w pewnym momencie spostrzegłam, że nic nas już nie uratuje i że nie jesteś tego wart.

Dlatego wtedy nie zrobiłam już nic więcej, żeby cię zatrzymać. Takie miesiące pustki, bólu, rozpacz i męki, jakie przeżyłam później — czy ja wiem — wydaje mi się, że też mają pewną wartość, która wzbogaca życie ludzkie. Trudno jednak, żeby mi ci była za nie wdzięczna.

Pamiętam te pełne upokorzeń dni, kiedy wypatrywałam twojej twarzy wśród tłumu przechodniów na ulicy!

Potem urodziła się Agnieszka.

Początkowo opanował mnie jakiś lęk przed ludźmi, postąpiłam przeciw wbrew utartym kanonom: miałam nieślubne dziecko. Nigdy nikt jednak nie dał mi tego odczuć. Ludzie bowiem z natury są dobrzy.

— Coś mówisz?
— Nie dosłyszałam, powtórz.

— Ach, tak, jak nam się wiodło przez te lata.
No, cóż, „dobrze”, „znośnie”, „możliwie”, „jakoś dawałam sobie radę” — tylko jeden z tych wariantów może stanowić odpowiedź.

— Przecież widzisz, że nieźle jeszcze wyglądam. Agnieszka zdaje w tym roku maturę.

— Chcesz się z nią zobaczyć? Nie? Ach, nie masz czasu, już wyjeżdżasz.

Uprzejmy uśmiech — za uprzejmy uśmiech. Smak kawy. Dym z papierosa.

Bo jak tu przez pół godziny opowiedzieć ci o siedemnastu latach naszego życia? Znudzi cię to i może nie zrozumiesz. Niełatwo było. Początkowo myślałam, że wrócisz, Agnieszka była taka śliczna. Ale ty nie widziałeś jej ani razu przez te długie lata. Przysłałeś pieniądze, owszem. Znam to twoje poczucie obowiązku. Wydawało ci się, że zrobiłeś dla dziecka już wszystko co tylko mogłeś, na co cię było stać

— dawałeś pieniądze. Żalileś się zresztą przed kimś tam, że musisz tyle płacić co miesiąc i wylizales, co mógłbyś za to sobie kupić. Jakimś złym echem to do mnie dotarło. Chciałam zrezygnować z twoich pieniędzy. Pomyślałam sobie jednak, że należą się one nie mnie, ale dziecku i nie powinnam w ten sposób ułatwiać ci życia.

Wiele razy powtarzałam sobie, że ludzie są dobrzy i naprawdę doświadczyłam tego. Z mojego zakładu pracy otrzymałam mieszkanie. Małe, ale wystarczające. Na każdym kroku napotykałam ludzką życzliwość. Niepotrzebnie obawiałam się początkowo mojego kroku. Tę obawę wyczytał w moich oczach pewnego razu mój stary kierownik, gdy z nim kiedyś szczerze rozmawiałam. Spojrzał na mnie i rzekł: „Och proszę pani, przecieł wszystkie dzieci są nasze, o wszystkie u nas dba się jednakowo i jednakowo je kocha”.

Dziecko oddawałam do żłobka. Co ty wiesz, Andrzej, o czarnych, zimowych porankach, kiedy w deszcz lub śnieg niesie się w ramionach rozbudzoną, płaczącą dziewczynę? Co ty wiesz o nieprzespanych nocach, spędzonych przy łóżeczku takiej maleńkiej kruszyny? O słodkich niepokojach, kiedy zakaszle, zwiótuje, gorączkuje, czy boli ją brzusek. O wszystkich chorobach dziecięcych po kolei, jak leci: odra, koklusz, szkarlatyna i wietrzna ospa. O stosach zasiusianych pieluszek. Czy znasz radość, kiedy wychodzi dziecku pierwszy ząbek, kiedy stawia pierwsze kroki, potem, gdy wymawia pierwsze słowa: mama i tata.

Nie znasz tego, Andrzej, bo nie było cię wtedy obok mojej Agnieszki.

Kiedy dziecko trochę odchowalam, postanowiłam skończyć szkołę. Oddałam małą do tygodniowego żłobka. Zabierać mogłam ją stamtąd tylko w niedzielę. Ciężko było. Tęskniłam za nią bardzo. Byłam jednak tak zapracowana, bo przecieł rano szłam do pracy, a wieczorem do szkoły, że w nocy spałam kamiennym snem. Po dwóch latach takiej orki zdałam maturę. Potem było źle. W pracy dostałam podwyżkę. Dziecko zaczęło chodzić do przedszkola, później do szkoły. To było dawno. Dziś mam ładnie urządzone mieszkanie. Sama jestem nieźle ubrana. Agnieszka pójdzie na studia.

Jednak nie byłam zupełnie szczęśliwa. Czasem czułam się samotna jak bezpański pies. Człowiek nigdy nie może być sam. Wiem, że zawsze są życzliwi ludzie wokół mnie, ale czasem trzeba mi kogoś bliskiego, z kim można porozmawiać o wszystkim, kto by ze mną dzielił radości i w kłopotach znalazł słowa pocieszenia. Wtedy nie wystarczała mi już obecność dziecka.

Po moim smutnym doświadczeniu bałam się jednak wszelkiego zbliżenia z każdym mężczyzną, byłam nieufna i tak to już zostało.

Teraz Agnieszka jest już prawie dorosła. Ale był czas, kiedy miałam z nią wiele kłopotu i wtedy tak bardzo przydałby się autorytet dobrego i mądrego ojca. Ze wszystkim musiałam sobie radzić sama.

Przeżyłam z nią razem jej pierwszą miłość i „zdradę” ukochanego i pierwszy młodzieńczy smutek.

W szkole też nie zawsze było najlepiej. Interesowała się literaturą i historią literatury, pisała sama wiersze. Miewała okresy, że kiedy studiowała jakiegoś pisarza, była nim po prostu opętana. Wtedy spała z książką, jadła czytając i wszędzie nosiła z sobą jego powieści, czy wiersze. Raz był to Tuwim, innym znów razem Majakowski. Upajała się wprost jego poezją. Wciąż tkwiły mi w uszach jego wiersze i poematy: „Kiedy odmierzam dni, którem przeżył, szukając, gdzie gorejący watek...” Piękne to były wiersze. Ciągle je sobie powtarzała, wracała do niej w najmniej odpowiednich momentach: na lekcji, w teatrze, w kinie. Taka już jest. Ech, Majakowski, Majakowski, ileż to przez ciebie oberwała dwój z matematyki, fizyki i chemii. Ileśmy się obie namartwiły. To była cenna, którą płaćcia za urok jego poematów. Bo zupełnie nie ma zdolności do przedmiotów ścisłych. No, ale teraz już jakoś sobie poradziłyśmy, chodzi na korepetycje i jest prawie zupełnie dobrze. Musiałam tylko wziąć dodatkową pracę wieczorami, bo to nowy wydatek. Zmęczona jestem, to prawda. Ale i zadowolona. Rozumiemy się obie i dobrze nam z sobą, bo to jest dobre dziecko. Kochamy się i jesteśmy w przyjaźni. Nie żałuję teraz tamtego kroku sprzed lat, kiedy mając do wyboru ją i ciebie, wybrałam Agnieszkę.

Ty nas nie potrzebujesz i my już teraz nie potrzebujemy

my ciebie. I gorzko na pewno będziesz kiedyś tego żałował. Irytuje mnie twoja nieprzenikniona twarz. Znam tę maskę, nie potrzebujesz przy mnie jej zakładać.

Duszno jest na sali, zapelnione już są wszystkie stoliki. W korytarzu kilka par uparcie czeka na wolne miejsce, niecierpliwie zaglądając przez oskłone drzwi. Na dykawnym fortepianie zblazowany chałturzysta gra od niechcenia „Jesienne róże”. — Skąd mu się to wzięło? To takie stare.

Zatabaczony szatniarz zastawiając drzwi obfitym ciałem użera się z jakimś śmiesznym, dobrze już zawiannym człowieczkiem. Tu jest przecieł obrzydlawie. Co ja tu jeszcze robię Czas iść.

Patrzysz na mnie i mrużysz oczy, twoje długie, kobiece rzęsy, z których byleś taki dumny, uwodzicielsko rzucają cię na policzki. Wiesz, że kiedyś lubiłam to spojrzenie. Ale czy nie wiesz, że siedzi z tobą już zupełnie inna kobieta, niż tamta sprzed osiemnastu lat? Ze żadnego wrażenia nie czynią na mnie te sztuczki, ani ta interesująca siwizna na skroniach?

— Co mówisz, że ładna dziś pogoda?

— Tak, mamy długą i piękną jesień.

Plącę za kawę. Nie mamy sobie nic do powiedzenia, bo dzieli nas, dzieli nas wszystko, dzieli nas osiemnaście lat życia — a to jest cała Agnieszka.

Wypiliśmy swoją kawę, wypaliliśmy papierosa i rozejdzemy się każde w swoją stronę, aby nie spotkać się pewnie nigdy więcej.

RYSZARDA KRYSZYN

Ręce

Twoje ręce
otwierające
przedmioty niemodne
kwiaty i ptasie skrzydła
rzeczy zwykłe
zieloną skorupę dnia do gorącego jądra
ciężkie wieki wieczoru do zanurzenia
w błyskotki nocy
otwierające
moje ciało
Twoje ręce
w nagłej ucieczce
zatrzasnęły drzwi wyobraźni.

Kiedy...

Kiedy odjąłeś ciału
liść ostatni
moje piersi do twojej ręki
dwa miękkie szczeniaki
Wydarłam oczom wszystkie krajobrazy
by twarz obwieścić twymi portretami
Skórę zrzuciłam w przysięchu osmozy
Nagości nagości
na dnie twojej dłoni
małą kulka chleba
lub oswojonym uchem nietoperza
Słyszę
boli
niedotyk spojrzenia
gdy obejmuje przedmioty

KATARZYNA ROGALSKA

Moja żona

Ta kobieta przy oknie — to moja żona. Na imię ma Joanna i jest piękna, bardzo piękna. Stoi cała w swoim pięknie na tle firanki z muślinu. I nawet nie uśmiecha się. Powtarzam sobie często: „moja żona”. Muszę powtarzać to bardzo często, by uwierzyć, że ta piękna kobieta na tle firanki z muślinu to moja żona. Stoi. Odchyliła lekko głowę do tyłu i patrzy w przestrzeń, na pola, na stare wierzyby z rzeką. Myśli. W zamyśleniu odgarnia włosy z czoła. Kiedy zapytam: „O czym myślisz, Joanno?”, odpowie: „Deszcz pewnie spadnie. Zbierają się chmury”, a przecieł wiem, że równocześnie nuci mazurki Chopina.

Moja żona. Przechodzi teraz ścieżką, żwir śpiewa pod jej stopami. Czuję, jak ostrożnie stawia nogi, smukłe, cudowne nogi; nie chce się zranić o kamyki. Boi się bólu. To byłby ból nie do zniesienia. Powiedziałaby: „Zraniłam się o kamyk. Nic. Drobnotka. Napij się herbaty?” A przecieł wiem, że jej oczy wilgotnieją przerażeniem.

Patrzę na ręce Joanny wśród kwiatów w wazonie, zwykłych, przyniesionych z pola kwiatów. Szczupłe palce mocują się z włochatą lodyżką. Już. Spojrzała na bukiet, trochę nieśmiało, ukradkiem, jakby bała się, że uchwyć to spojrzenie, że ukradnie jej coś własnego, coś, co tylko do niej należeć może.

Nalewa herbatę i siada przy mnie. Swobodnie układa dłoń na kolanach. Układa bezwiednie pełne wyrazu dłoń w myśli, we wrażenia, w słowa. Czytam. Tak łatwo odnaleźć ich sedno i tak trudno zarazem. Nie śmiem wziąć jej za rękę, bo rozplynie się, wyfrunie uchylonym oknem. Moja żona siedzi przy mnie i powoli pije gorącą herbatę. „Joanno, jak możesz pić taki wrzątek?” — pytam, a ona tylko uśmiecha się leciutko. Nic nie mówi, nawet nie zadraża filiżanki. Może zadaniem jej dziecinne wtanie, albo popełniłem jakiś niestakt. Trudno Joanna jest bardzo wyrozumiała. Zresztą pewnie już nie pamięta o co otałem.

Wstała, by wpuścić do pokoju Ambrożego. Ambroży to

kot Joanny. Znalazłem go kiedyś w lesie. Był brzydki, mokry, polepiony żywicą i małeńki. Ledwie przyniosłem go do domu i moja żona wzięła go na ręce, od razu wszyscy troje wiedziliśmy, że Ambroży to kot Joanny. Wszedł. Przeciąga się, jeży sierść na grzbiecie i niemal słychać trzask iskierki. Wskoczył na kolana mojej żony, parę razy zakręcił się, zanim zwinął się w kłębek. Mruczy. Patrzę na ręce kobiety, jak nieruchome toną w sierści kota. Przygąsły trochę. „Jesteś zmęczona?” — znowu niepotrzebne pytanie. „Ach nie, zupełnie nie” — i kładzie głowę na moim ramieniu. A przecieł widzę ręce Joanny przygaszone zmęczeniem.

Lubię, gdy Joanna kładzie głowę na moim ramieniu. Wtedy przez moment wiem, że istnieje na pewno i powtarzam w myślach: „Ta piękna kobieta — to moja żona. Moja żona położyła głowę na moim ramieniu”.

Czasami chciałbym być Ambrożym. Wydaje mi się, że łatwiej mógłbym wnikać w świat Joanny. Bo oni są zadziwiająco podobni do siebie. A przecieł to moja żona, więc i ja w jakiś sposób znajduję się w jej świecie. „Powiedz, jaki jestem u ciebie?”. Uśmiecha się, nie, śmieje się. Bierze moją rękę i przytula do niej policzek. „Wiesz, Ambroży złowił dzisiaj rano wróbla. Przyniósł go do pokoju. Na szczęście go nie zagryzł, tylko bardzo przestraszył...” Stucham głosu Joanny, słucham, jak szmerze w nim nieprzenikniona woda. Głos mojej żony przepływa przez pokój, plącze się w muślinie i ulatuje na pola. — „Ambroży miał zawieszoną minę, gdy wróbel odfrukał”.

Obaj z Ambrożym mamy wspólne kłopoty. Konieczne byłoby zrobić coś dla Joanny i nigdy nie wiemy, czy nie popełniamy głupstw, chociaż jest ona dla nas naprawdę pobłażliwa.

Kobieta krząta się po kuchni i nuci. To moja żona. Nie mogę się poruszyć, nie mogę jej słyszeć. Czasami trochę fałszuje, o pół tonu, i byłoby jej przykro, gdyby wiedziała, że słyszę, z jakim trudem pokonuje melodię. Szalenie lubię, kiedy Joanna nuci i kiedy trochę fałszuje, o pół tonu.

Nad rzeką grają świerszcze. Ciężki rżęs rysuje się na policzkach. Joanna oddycha, bezgłośnie, lekko. Leży przy mnie przytulona i daleka. „Gdzie jesteś, Joanno?” Otworzyła oczy: „Usiadłam na kamieniu pod dębem. Oparłam się plecami o pień i patrzę w niebo, w liście”. „A ja gdzie jestem?”. „Ze mną, wśród liści, patrzę na ciebie”. Skłamała. Mnie tam nie ma. Ręce złożyła na kolanach, siedzi na wielkim kamieniu sama, opuszczona, bezradna. Czytam to w jej oczach pełnych lęku, zmatowiałych do dna.

Ta kobieta przy mnie — to moja żona. Na imię ma Joanna i jest piękna, bardzo piękna.

Kłopoty z powieścią historyczną

1.

Lektura wydanych niedawno książek Borysa Reizowa „Francuska powieść historyczna w epoce romantyzmu” i Wincentego Danka o Kraszewskim „Pisarz wciąż żywy” może nasuwać wątpliwość, czy uznany tradycyjnie podział powieści na współczesną i historyczną posiada istotne znaczenie i czy się jeszcze długo utrzyma. Formalnie biorąc każda powieść, która wychodzi z wydawnictwa i z drukarni po trwającym u nas cyklu produkcyjnym co najmniej rocznym, mówi już o czasie przeszłym, o tym, co zostało przez pisarza doświadczone i przemyślane, i co należy już do przeszłości. Różnica między tym, co się dokonało przed rokiem czy przed stuleciem, a więc, jak gdyby w czasie przeszłym niedokonanym i w czasie przeszłym dokonanym, nie daje się wystraszająca do podziału powieści na współczesną i historyczną. I w pierwszym, i w drugim wypadku pisarz stwarza świat własny i nowy, jakiego dotąd nie było, ex nihilo, z niczego.

Również merytorycznie idą w tym kierunku wypowiedzi wybitnych krytyków (którzy są zdania, że wydarzenia historyczne odgrywają rolę elementów zapożyczonych i przetwarzanych przez wyobraźnię pisarza w materię całkowicie nową, tak samo, jak są przetwarzane przez pisarza elementy wzięte z najbliższej nam współczesności), oraz Władysława Terleckiego, autora „Spisku” i „Gwiazdy Piolun” (który wyraża pogląd, że pisarz — nawet jeżeli opatrzył swój utwór nazwą powieści historycznej — tworzy tylko mit, nie mający związku ze sprawdzalną prawdą historyczną). Podobne wnioski można wyprowadzić ze wspomnianych na wstępie studiów Reizowa i Danka. Reizow powołuje się, na przykład, na Stendhala, który tłumaczy sobie poczciwość powieści Waltera Scotta tym, że szkocki pisarz „odgadł duchowe dążenia epoki”, a dalej pisze o znaczeniu politycznym twórczości Waltera Scotta, w którego powieściach francuscy czytelnicy okresu Restauracji oglądali ni by „w czarodziejskim zwierciadle” swoje własne losy”. Walter Scott odgadł dążenia epoki średniowiecza, a zarazem — pierwszej ćwierci XIX wieku, gdyż zaspokajał potrzeby współczesnego mu człowieka. Na czym więc polegała istotna różnica między powieścią historyczną a współczesną?

W interesującym studium „Pisarz wciąż żywy” Danek formułuje następujące kontrowersyjne sądy: „Ladunek konkretnych faktów, autentyzm konfliktów, zdarzeń i postaci zdaje się obowiązywać jako norma w najnowszej beletrystyce historycznej”, oraz: „Jednym z kryteriów w oceny... wartości staje się zgodność obrazu literackiego z prawdą dziejową, to jest z faktami historycznymi”.

Jak to jest jednak z tymi „kryteriami”, skoro dalej Danek przyznaje, że w walce Sienkiewicza o rangę i sens egzystencji powieści historycznej, powieść ta spotykała się „zawsze z tym samym zarzutem, że jest czymś w rodzaju nieprawego potomstwa historiografii względnie jej daleką krewną”?

Zastrzegając się, że nie mam zamiaru umniejszać wielkości i znaczenia piarstwa Sienkiewicza, muszę jednak przypomnieć, że historycy wykryli w „Trylogii” niemało błędów, i to niekiedy — rażących. Pierwszy z brzegu przykład: W „Potopie” (tom III, rozdział VI) Sienkiewicz opisuje Michałkę, który dosiadłszy żrebaka zawiadania rotmistrza Szandarowskiego, że w pobliskiej wsi znajduje się kwatery króla szwedzkiego. Ale jak wynika ze studium prof. Stanisława Szczotki „Udział chłopów w walce z potopem szwedzkim”, opisany wyżej fakt nie mógł mieć miejsca i jest anachroniczny, gdyż znacznie wcześniej, zaraz po inwazji szwedzkiej, Michałko, młynarz z Tucholi, został wcielony gwałtem jako chłop na schwał do rajtarów Karola Gustawa. Wyzwolony podczas najazdu Rakoczeza z przymusowej służby u Szwedów, zebrał garść ochotników i zaczął uprawiać partyzantkę przeciwko najeźdźcom w okolicach Starogardu. Nie mógł być więc tam, gdzie go opisuje Sienkiewicz i nie mógłby dosiąść żrebaka, gdyż nie był pachołkiem, lecz chłopem na schwał, co się zowie, bowiem tylko takich wyrwidębów jak nasz młynarz Szwedzi zaraz na początku najazdu wcielali gwałtem do rajtarii, ciężkiej, wyborowej jazdy. Podobnych anachronizmów jest w „Trylogii” wiele, co bynajmniej nie umniejsza jej wartości; a więc, kryterium zgodności obrazu historycznego z prawdą dziejową jest nieprzydatne. I słusznie twierdzi Andrzej Kijowski w swoim esaju w „Twórczość” (nr 10 z 1962 roku), że przedmiotem historii nie jest właściwie historia, lecz — charakter Polaków, ich wyobrażenia o samych sobie, a powoływanie się autorów licznych popularnych powieści historycznych (które są raczej obrazkami vel czytankami historycznymi) na Sienkiewicza jako na klasyka jest nieporozumieniem.

2.

Poglądy na prawdę dziejową i jej zmieniony obraz — prawdę historyczną, znajdującą swe urzeczywistnienie w tzw. powieści historycznej, są w opinii wybitnych twórców i krytyków diametralnie odmienne. Żyjemy w czasach pogłębiającej się nieufności i przekonania o niemożliwości zrozumienia i pełnego odtworzenia biegu historii. W „deterministycznym” pojmowaniu dziejów, obojętne już, czy jako łańcuchu przyczyn i następstw... czy w „tym”, co zapisane w górze”, widzi Maria Szpakowska konstytutywne założenie historiozoficzne piarstwa Teodora Parnickiego. W podobny sposób ocenia historiozofię Parnickiego krytyk Władysław Maciąg, który charakteryzuje świat w powieściach Parnickiego jako z natury naznaczony sprzecznościami, zmieszany i chaotyczny, widząc w przemieszanu treści formę życia. Maciąg dochodzi do przekonania, że Parnicki posiada nie spotykane u innych pisarzy „poczucie daremności historii” i że w „Nowej baśni” dzieje albo wiodą donikąd, albo niosą nieprzerwane kataklizmy.

Za jedną z cech charakterystycznych dzisiejszej powieści tzw. historycznej uważa się wypełnianie luk pomiędzy faktem dziejowym a prawdą historyczną. Podejmowanie tego rodzaju prób bardziej przyszli pisarze niż ludziami nauki, gdyż odwoływanie się do wyobraźni pociąga konsekwencje, które mogą być wybaczone pierwszym, ale nie — drugim. Mógłbym

się tutaj znowu powołać na opinię wybitnego krytyka, który wypowiedział pogląd, że właśnie powieści Parnickiego są przeważnie nie oparte na rozumowaniu zabronionym w historii, na rozumowaniu w trybie „co by było, gdyby...” Dlatego krytyk ten daje wyraz przekonaniu, że utwory Parnickiego należałyby nazwać raczej historiozoficznymi fantazjami, w dodatku znaczeniu tego słowa.

cenar wskazuje miejsca, „w których coś do historii dodano albo ją ostrożnie przekształcono”. Nie dajmy się jednak zwieść zastrzeżeniom, które wysunęła pisarka, zapewne w obawie, żeby nie zarzucono jej anachronizmów. „Pamiętniki Hadriana” są — jak to słusznie zauważyła Helena Zaworska — przede wszystkim powieścią psychologiczną, której tematem jest dramat wybitnej indywidualności, pragnącej



Jeżeli więc ani mniejszy lub większy wpływ czasu nie może być podstawą klasyfikacji; jeżeli w relacji prawda dziejowa — prawda historyczna, możliwość pełnego odtworzenia i zrozumienia biegu historii nie może być osiągnięta, to podział na powieści historyczne i współczesne posiada charakter czysto umowny, pozbawiony teoretycznego i praktycznego znaczenia.

Przykładem powieści, które niesłusznie uchodzą za powieści historyczne, będąc po prostu wybitnymi dziełami literatury pięknej, są „Pamiętniki Hadriana” Marguerite Yourcenar i „Wielki Tydzień” Aragona. W „Przypisach” do swej powieści Your-

cenar wskazuje miejsca, „w których coś do historii dodano albo ją ostrożnie przekształcono”.

Natomiast w krótkiej przedmowie do „Wielkiego Tygodnia” Aragon pomimo umieszczenia akcji powieści w pierwszej ćwierci XIX stulecia, ostrzega czytelnika wręcz, że: „Nie jest to powieść historyczna... i powołuje się na prawa wyobraźni, nie dające się podporządkować żadnym formułkom.”

Otóż to, jestem właśnie przekonany, że prawa wyobraźni są silniejsze od wszelkich prób usiłujących daremnie sklasyfikować powieść jako taką na gatunki czy rodzaje.

Przeszłość i terażniejszość

„Weźcie „Ludzi bezdomnych” do ręki — przeczytajcie ten ustep, gdzie pisze Ze romski o Marianie Bohuszu, przypomnijcie sobie i zrozumcie cichą i wielką śmierć Stefana Okrzei i że to się dzieje dziś, przy nas, obok nas, za nas, o Warszawie pomyślcie, gdzie krew się być może leje o tej porze, a potem, potem przypomnijcie jeszcze, że jest świat przyszłości, którego nie wydrzeć nie zdoła. I że to wszystko żyło w jednym sercu i w jednym mózgu, a zrozumiecie kim był, czym był Kazimierz Krauz”. Tymi zdaniami S. Brzozowskiego zamknął Wiesław Bienkowski swą książkę o wybitnym działaczu socjalistycznym i uczonej — Kazimierzu Krelles-Krauzie (1872—1905). Po stać towarzysza Luźni — pod tym głównie pseudonimem, przybrany jeszcze w latach gimnazjalnych w Radomiu, znali go czytelnicy prasy socjalistycznej — nie miała do tąd szczęścia do monografi-

stów. Pisano o nim wprawdzie często i wiele, ale nikt dotąd nie objął całokształtu

i przyczynki, ogłoszono „Pisma wybrane” (1962) — ale monografi jak nie było, tak nie było. A więc na reszcie jest — drobiazgowa, wnikliwa, naukowa, pasjonująca.

O Kazimierzu Krelles-Krauzie

jego życia i działalności. Jego biografię pragnęli napisać swego czasu K. Krzeczowski, L. Wasilewski a tak że L. Krzywicki, lecz skończyło się na niczym; po ostatniej wojnie ledwo przypomniano sylwetkę Krelles-Krauz, a już posypały się na nią gromy. Czołowy strażnik prawomyślności tamtych lat osądził jego poglądy jako „reakcyjne i szkodliwe” i tropił w nich „uzupełnienie zwulgaryzowanego materializmu idealizmem”. Rehabilitacja nadeszła dopiero w 1957 roku, posypały się artykuły

Przeżył tylko 33 lata. Już w radomskim a później kieleckim gimnazjum rozpoczął działalność polityczną — jak pisał później — „świeżo na wrócony na socjalizm i w ogóle na rewolucję”. Do ruchu socjalistycznego przystąpił podczas swego pierwszego pobytu w Paryżu (1892) — niebawem będzie wybitnym działaczem Związku Za granicę Socjalistów Polaków a później Oddziału Za granicę Polskiej Partii Socjalistycznej (1900), wziętym publicystą, piszącym do różnych czasopism nauko-

wych i politycznych, zagranicznych i krajowych. Krelles-Krauz — jak to niedawno podkreślono — w swej działalności politycznej „stał zdecydowanie na gruncie hasła niepodległościowego ja-

les-Krauz jako działacza politycznego choć jakże bogata, jakże jest niepełna. Był on wszak wybitnym uczonej, socjologiem, członkiem międzynarodowych towarzystw naukowych (m. in. jednym obok Ludwika Gumplowicza Polakiem członkiem Międzynarodowego Instytutu Socjologicznego w Paryżu), uczestnikiem międzynarodowych kongresów socjologicznych, wykładowcą Kolegium Nauk Społecznych w Paryżu (1897—1901) a później Nowego Uniwersytetu w Brukseli (1901—1902), uczonej o szerokich horyzontach i nowatorskim spojrzeniu na pasjonujące go zjawiska społeczne. Jego badania dotyczyły problematyki materializmu historycznego, socjologii instytucji, socjologii kultury, historii socjologii i innych jeszcze grup zagadnień.

Przeniknięty wizją zbudowania nowego ustroju społecznego na zasadach socjalizmu — pisze Wiesław Bienkowski — złączył się nierozważnie z ideą niepodległości Polski. A nawet jego pełne zaangażowanie ideowe

nie wpłynęło ograniczająco na posiadane poczucie rzeczywistości. (...)”

„Koleje życia Krelles-Krauz za przeciętą przedczesną śmierć. Fakt ten przerwał wywieranie przez niego wpływu na toczące się spory wewnątrzpartyjne, prowadzące w PPS do rozłamu, które go był zdecydowanym przeciwnikiem. Śmierć przerwała również realizację jego bardzo szeroko zakrojonych planów i prac badawczych w dziedzinie historii społecznej, socjologii i prawa”.

Na Cmentarzu Centralnym w Wiedniu, na płycie grobowej Kazimierza Krelles-Krauz za znajduje się dwujęzyczny napis. Po polsku wyrzytu tu słowa: „Socjolog — teoretyk i działacz Polskiej Partii Socjalistycznej”. Po niemiecku tekst brzmi nieco inaczej; w tłumaczeniu dosłownym: „socjolog — marksista, członek polskiej partii socjalistycznej PPS”.

JÓZEF GRZELAK

* W. Bienkowski, „Kazimierz Krelles — Krauz. Życie i dzieło” Wrocław — Warszawa — Kraków 1963, PAN — Oddział w Krakowie.

JERZY WIDOK

Podróże na Wschód



Te był znakomity pomysł. „I wtedy ktoś z nas rzucił projekt napisania wspólnej książki o niektórych podróżach czy o momentach co szczególnie wraziły się w pamięć i należą do tych niezapomnianych”. Taka jest geneza książki „Podróże do trzech czasów” — książki ośmiu autorów, notujących swoje wrażenia z podróży na Wschód, do Związku Radzieckiego.

Napisałem — książka. Tak, bo nie jest to tom reportaży, ani esejów, trudno tę pozycję zaszkladkować — jest jakaś bardzo bogata zarówno w warstwę informacyjną, jak i strukturę pisarską. Pisała ją ośmiu autorów i każdy dostrzegł co innego; fascynował się innymi sprawami, każdy relacjonuje i opisuje tę „swoją Rosję” na miarę własnego temperamentu i własnego piarstwa.

W ten sposób zrodziła się książka wielowarstwowa, różnorodna i niebanalna. Zajmująca i poznawczo odkrywczą. Tadeusza Chróściewskiego urzeka repinowska sala w Galerii Tretiakowskiej, gdzie „mokro od carewiczowskiej krwi”. Z rozprawki Chróściewskiego wy-

łania się Kreml i Zagorsk nie reporterski lecz historyczno-poetycki — straszą ikony Rubliowa — „ikony starsze od najstarszych”... Świetnie napisany, głęboki esej o rosyjskiej sztuce.

I nagle przeskok w inną konwencję i inne sprawy. Reportaż Tadeusza Daszkiewicza — wycieczka polskiej młodzieży na stalingradzkim Kurhanie Mamaja. Miasto-bater i reminiscencje z ostatniej wojny. Spotkania z ludźmi jak choćby z owym pułkownikiem Lenczewskim, który terminował jako zwładowca u Czapałowa i który ma rodzinę w Łodzi „gdzieś niedaleko ulicy Przędzalnianej”. Reporterska wędrówka po kraju, gdzie „wszędzie, w najmniejszym chutorze, najmniejszej wsi, do której nas zaniosło, zawsze znalazł się ktoś, kto walczył w Polsce o Polskę”.

Potem znów gwałtowne cęcle. Rzecz z zupełnie innych regionów — archiwalna przygoda Leona Górnoleckiego. Fascynująca opowieść o zdaniu w „Moskowskim Telegrafie” z roku 1829 — niby nic, a jednak... „Puszkina i Mickiewicza szli za trumną Wieniewitnowa i płakali jak inni”. Zdanie z gazety sprzed 150 lat — a nikt na to nie zwrócił uwagi, ten udział dwu wielkich w pogrzebie młodo zmarłego poety? Więc detektywistyczna praca wie opowieść już nie tylko o szpe-

ranju w archiwach, lecz także o szukaniu... samych archiwów. Gdzie się podziały księgi Klasztoru Simonowego, w jakiej parafii mieszkał Wieniewitnow? Rzecz znakomicie napisana — klasy tuwimowskiej rozprawki „Wiersz nieznanego poety”.

Ale zaraz musimy ruszać w drogę z Janem Huszcą. Na Białorusi do literackich przyjaciół i tłumaczy, a potem dalej w lata minione do Moskwy z lat czterdziestych. „Kiedy poznałem Moskwę była to Moskwa wojenna, Moskwa ludzi żyjących w stałym napięciu. Spracowanych i zatroskanych”. A potem współczesna już wizyta w muzeum Lwa Tołstoja — i dalej już przepłatać się będą reminiscencje z lat wojny z historyczno-literacką informacją, zapiski z przemyślenia krajoznawcy Baku z opisem pałaców azerbejdżańskich szachów...

Znad Morza Kaspijskiego wraca my z Wiesławem Jażdżyńskim nad Wilię i Niemen. I znów uroczą siłwa rerum, „niezapomniany kinodźwięk na śniadanie i potężne szkła nico litewskiego kwasu, wędliny Litwy, że palce lizać...” A potem „Jemy szaszлык po litewsku, pijemy chłodniki, popijamy kwasem”. Kulinarium w Jażdżyńskiego nie brak — to ciekawe, że tak niechętnie w relacjach z podróży pisze się o uciechach stołu. A szkoda, bo przecież kuchnia to także kawał

ciekawej informacji o innych narodach. Ale Jażdżyński jest wydawcą więc: „Jakże to — jest ich (Litwinów) ok. trzech milionów, a tomiki poezji rozchodzą się w nakładach 7—8 tysięcy egzemplarzy. Jakże to tak? Jak każdy chytry wydawca zaczął rozumować: gdyby to była poezja drętwą, słoganną, to by jej nie kupowali, no, bo nie ma przymusu czytania, skoro jednak kupują, to znaczy, że jest to poezja dla ludzi”. Czyż jednak nad Wilią i Niemenem godzi się nie wspomnieć o poetach? Więc jest historia romansu Mickiewicza z doktorową Kowalską, są wędrówki cmentarne tropami grobów ojca Słowackiego, Syrokomli, dr Be-

ciu... A potem znów inne obszary Kraju Rad, inne sprawy i inny piarski temperament. Jan Koprowski notuje zainteresowanie Polską na Wschodzie — na Krymie tropi ślady mickiewiczowskich sonetów, odwiedza dom Czechowa... Znajdujemy w tym zapisie niepowtarzalną atmosferę wieczorów autor-skich, gdzie poeci — jak Bella Achmadulina — godzinami recytują z pamięci swoje wiersze. Jesteśmy obecni przy rozmowach ze Szklowskim, słuchamy anegdot.

I zaraz po tym czytelnik wpada w wir cyfr, problemów, wskaźników. Krzysztof Pogorzelec penetruje radzieckie „dziś” gospodarstwo. A więc zarobki i komunikacja, han del i budownictwo, spożycie i praca... Nowy hotel „Rasija” na miejscu ruder dawnego Kitajgorodu, rekonstrukcja starych cerkiewek, pięciodniowy system pracy, problemy wolnego czasu... Chyba potrzebny był tej książce ów publicystyczno-ekonomiczny aspekt podróży na Wschód.

Kończymy owe podróże notatnikiem Igora Sikiryckiego, który związał się na całe życie z gruzińską poezją, z Kaukazem, Armenią, Gruzją. Tu znów — jak każda konwencja notatnika — mamy swoistą siłwa rerum — od danych gospodarczych, informacji historyczno-literackich po anegdotę.

Niebanalna to książka, ciekawa i wielostronna. A przecież nie jest łatwo napisać coś nowego o kraju, który w naszej literaturze fakty ma tak bogatą bibliografię. „Podróże do trzech czasów” — dzięki umiejętnemu doborowi autorów i spraw, dzięki zróżnicowaniu problemów i różnorodności piarskich temperamentów — stały się pozycją wartościową. I to zarówno ze względu na bogaty materiał poznawczy, jak i czytelniczą atrakcyjność. Ta książka bowiem nie tylko przynosi nam ogrom informacji, ale jest — normalnie i po prostu — bardzo ciekawa.

„Podróże do trzech czasów” — T. Chróściewski, T. Daszkiewicz, L. Górnolecki, J. Huszcza, W. Jażdżyński, J. Koprowski, K. Pogorzelec, I. Sikirycki. Wydawnictwo Łódzkie, 1969, cena 10 zł.



PO POLSCE I EUROPIE

Wybitny pisarz polski, Ksawery Pruszyński, autor głośnej powieści „Droga wiodła przez Narvik” oraz dwu tomów opowiadań: „Karabela z Meschedu” i „Trzyście opowieści” był także utalentowanym publicystą i reportażystą. Właśnie rzucono na rynek księgarski wybór jego reportaży. Pierwsza część zawiera reportaże z podróży po Polsce, druga — z podróży po krajach Europy. W podróży po własnym kraju autor opisuje stosunki panujące w Polsce przedwrzesniowej. Są to już obrazy nieledwie egzotyczne, ale oglądane z perspektywy historycznej — nie mniej ciekawe, a może nawet ciekawsze niż



— niż dawniej. Szkoda, że w wyborze „polskich tematów” zabrakło reportażu Pruszyńskiego o Łodzi pt. „Złoci kulisi”. W części europejskiej autor pisze o Grecji, Czechosłowacji, Niemczech, a osobno także o Ameryce. Wszystkie te reportaże odznaczają się bystrością obserwacji społecznych i żywym tokiem narracji. Książkę uzupełnia wybór kreślonych przez autora sylwetek pisarzy polskich i obcych oraz wybór recenzji książkowych. W sumie powstała ciekawa publikacja zmarłego w 1950 r. pisarza, do której kompetentną przedmowę napisał Kazimierz Wyka.

JK.

* Ksawery Pruszyński: „Podróże po Polsce. Podróże po Europie”. Wyd. Literackie, Kraków.

MARIA TYMOWSKA

W Nohant

„Berry — kraj rodzinny George Sand, jej pałac w Nohant pamięniony na muzeum, oprócz zameczku gotycki kościół z XII w. z drewnianym portalem i freskami” — poda je Larousse.

Miałam okazję uzupełnić tę skrótoną informację własnym spotkaniem z Nohant.

Stara kraina Berry — pays de George Sand — jak głoszą wielkie przydrożne napisy, od czasów Filipa Pięknego stanowiła dobrą francuską krainę. Ślady tej królewskiej przeszłości, zamki feudalne i uroki krajoznawstwa ścigają licznych turystów. O „Czarnej Dolinie” — Vallee Noire — pisała George Sand: „kraj ten przypomina mi całe moje dzieciństwo. Każdy kamień, każde drzewo wywołuje z pamięci jakiś rozdział mego życia, tu oddycham powietrzem, którego tak mi trzeba...” i dalej „...drzewa tu okazałe, łąki i zboża wspaniałe, a na skraju potoków i drogi, wzdłuż kałuż różowej wody, kwitnące janowce”.

Tą drogą w 1839 roku jechał do Nohant powracający z Majorki Fryderyk Chopin. W cieniu rozlo-

żystych drzew XII-wieczny wrośnięty w ziemię kościół urzeka surowym pięknem architektury średniowiecza. Prócz kościoła i pałacu Nohant liczy kilka parterowych domków. Do ich okien zaglądają malwy czerwone, żółte, różowe. W parku otaczającym pałac wiją się ciemna, kręta struga...

Do parku przylega mały cmentarz — parę kamiennych krzyży i prostokątna grobowa płyta z wyrytym na niej napisem: AUORE DUPIN baronowa Dudevant GEORGE SAND. Krzyże znaczą groby jej rodziców, babki, syna i zmarłej przed dwoma laty wnuczki. W jednym tylko grobie spoczywa ktoś obcy. Był nim gorący wielbiciel talentu pisarki. Jego droga na cmentarz była wielce romantyczna. Z tonącego statku rozbiitek dopłynął do nieznanego wyspy. Utracił wszystko prócz listu, który wyspiarze przekazali do rąk adresatki. List ten sprawił, że rozbiitek otrzy mał nie tylko pieniądze na powrót do Francji ale i zaproszenie do Nohant, gdzie do śmierci pozostał.

Pałac George Sand, dziś muzeum państwowe, niemal codziennie rozbrzmiewa gwarem różnojęzycznej mowy — zwłaszcza w lecie turystów tu wielu. Sprowadza ich tutaj nie tylko zainteresowanie osobą George Sand, ale i związkami tego pałacu z nazwiskami tak wybitnych osobistości minionej epoki jak Balzac, Delacroix, Dumas syn, Musset, Turgieniew, a przede wszystkim Chopin. Jego pokój znajdował się tuż obok sypialni George Sand, gdzie na framudze okna jej ręka wypisała datę „19

juin 1839” — w tym dniu Chopin po raz pierwszy przybył do Nohant. Niestety podczas remontu pałacu napis został zamalowany. W słynnym „boudoir bleu” otwarte mały sekretarzyk, pióro przygotowane do pisania — tu powstały



Rys. H. Matisse

„Indiana”, „Spiridion” i inne powieści z czasów pobytu Chopina. W jego pokoju mieści się dziś biblioteka. Jest tutaj też komódka, którą ofiarował pani tego domu. Dość wiernie zachowany został salon, gdzie goście Nohant słuchali muzyki Chopina i oglądali słynne pantomimy. Obok cennych bibelotów i interesujących portretów — fortepian, na nim Chopin komponował sonatę h-moll, nokturn i mazurki... „Przez otwarte na ogród okno dochodzą zmieszane ze śpie-

wem słowików i zapachem różanego kwicica przesycone melodie muzyki Chopina, bo ten nie przestaje tutaj pracować...” pisał E. De la Croix w liście do J.B. Pierreta — 7.VI 1842. Przy stole wykonanym przez miejscowego stolarza George Sand szyła wieczorami kostiumy dla swych marionetek Kolombiny i Arlekina, postaci z włoskich komedii i z lat swego dzieciństwa: starych hrabin, chłopów, strażników. Przedwzięty teatr marionetek stłoczony na malutkiej scenie okrywa warstwa kurzu. Rurkowane krezy, białe cepce, czarne długie tużurki, kapelusze z piórami, dawno utraciły barwy. Ten domowy teatr z widownią, która mieściła nawet 60 osób, ze sceną, kulisami, gablotami dla marionetek był królestwem syna George Sand — Maurycyego. Początek jednak dał teatrowi Chopin, którego aktorskie umiejętności oklaskiwano w Nohant.

W jadalni duży owalny stół na kryty jak do obiadu. Saska porcelana, srebrna zastawa, stare szkło, obok talerzy bilety z nazwiskami zaproszonych gości, tych samych, co bywali przed laty. W ten sposób niedawno zmarła wnuczka pisarki, p. Lauth-Sand upamiętniła jeden z obiadów, w którym jako dziecko brała udział, siedząc w gronie dostojnych gości swej babki.

George Sand nadała pałacowej kuchni charakter wiejskiej izby. Rzeźbione ławy, ciężki dębowy stół, szerokie półki, a na nich miedziane rondle, nad paleniskiem za wiszący na łańcuchu kocioł. Jest i deska. Na niej pani domu wypię-

sywała kucharzowi codzienne menu obiadowe.

I jeszcze jeden szczegół. Nad drzwiami rząd dzwonek — kółka tek, a każdy innym dźwięczy głosem. Stali mieszkańcy pałacu znali swoje dzwonki. Wzywały ich na wspólne posiłki. Chopin miał także swój dzwonek — jego głos zamilkł, gdy Chopin na zawsze opuścił Nohant.

Z kuchni wyjście na obszerne podwórze okolonie budynkami gospodarskimi. Pośrodku stylowa studnia. Poruszane wiatrem skrzyżki pią szeroko otwarte wrota pustych dziedzińców. W wozowni rekwizyt minionej epoki — mały powozik z przekrzywioną latarnią...

Letni dziedzińca końca. Stróż przewodnik zatrząskuje ciężkie, dębowe drzwi pałacu...

„Zachodzące słońce schowaj swe blade promienie za dalekimi drzewami. Gwiazda wieczorna obwiesza koniec dnia — zapadający wiecór zasnuwa pejzaż melancholijny...” — George Sand 1820 r.

Siedzimy na werandzie oberży przy dobrym francuskim winie. Przy sąsiednim stoliku ktoś mówi po polsku. Profesor z Louvin przy był z rodziną, by pokazać dzieciom miejsce tak związane silnie z Chopinem. Niestety mało kto z Polaków tu zagląda. Nohant oddalone od Paryża 270 km nie leży na szlaku popularnych wycieczek; dla tych co samochodem nie mają, dojazd tu dość kłopotliwy. Sumuje wrażenia dnia. Pachnie caprifoliom rozpięte na ścianach oberży „La petite Fadetete”, jak tytuł powieści George Sand.

O Cnocie i rozpuszczeniu

Bardzo dawno temu była sobie piosenka, która — nie pamiętam — bądź miała refren, bądź zaczynała się od słów: „SIADAM W KINIE W PIERWSZYM RZĘDZIE, ZEBY BYĆ BLIŻEJ NIEJ...”. Ku urzeczywistnionemu marzeniu podążał zatem widz kinowy po skrzyplącej podłodze do pierwszego rzędu, do Niej, Jankiej?

Wyobraźnia mężczyzn tworzących filmy nie okazała się tu nadto bogata. Zresztą — żeby być w zgodzie z treścią imputowaną starej piosence — prawdopodobnie wyobraźnia odbiorców — mężczyzn także nie obfitowała w zróżnicowane typy kobiece. Typy są tylko dwa. Nie zawsze występują w postaci chemicznie czystej, nieskażonej i prawdę mówiąc, nie może być inaczej, skoro typizacja dotyczy istoty z natury tak przewrotnej, jak kobieta. Cechy typów lubią być pomieszane, gra nie odbywa się też od razu w otwarte karty, zdarza się, że Wamp nosi maskę Dziewczyny Uczciwej, Dziewczyna Uczciwa — Wampa i dopiero zakończenie ujawnia fałszywe bądź szczerze wartości jej serca... Wielki estetyk Erwin Panofsky uznał je za „najbardziej być może przekonujące nowoczesne odpowiedniki średniowiecznych personifikacji Rozpusty i Cnoty”. Ta więc z tradycją sztuki niemalże najświeższej daty — kina, byłaby godna bezdyskusyjnej chwały, gdy by zarazem nie świadczyła, że wyobraźnia mężczyzn niekiedy rozwinięta się w ciągu wieków.

Rozpusta i Cnota, Wamp i Dziewczyna Uczciwa. Oddajmy sprawiedliwość twórcom i odbiorcom filmów, notując, że w kinie

OD CNOTY WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO

Doskonałym wcieleniem cnoty — ba, wszelkich cnot — stała się Lillian Gish. Była matką ojca filmu artystycznego, Dawida Warka Griffitha. Twarczyk miała o regularnym, łagodnym owalu, oczy pełne niewinności, drobny nos i usta. Pojawiła się na ekranie w roku 1915 w „Narodziny narodu” jako Elsie Stoneman, najpierw promienna narzeczona, potem — w wojennej potrzebie — z poświęceniem pielęgnująca rannych Samarytanka. W następnym dziele Griffitha — „Nietolerancji” (1916), filmie złożonym z epizodów, pe-

niła funkcję swego rodzaju przerywnika. Poszczególne fragmenty „Nietolerancji” punktował — jak wyrzut sumienia, obraz Lillian Gish — Madonny, młodej matki schylonej nad kołyską, ofiary wojen, nieszczęść i krzywd, które wywołuje uniemożliwiająca porozumienie i przyjaźń między ludźmi nietolerancja.

Musiał wzruszać i budzić współczucie ten obraz, bo postaci dziewcząt dobrych i cnotliwych, a przecież wiele uciśnionych, pozostały jako genre aktorski Lillian Gish. Była „Złamaną lilią”, który to film nosił podtytuł „Historia łez”, i „Męczennicą miłości”, w którym to filmie mdlała na pływającej krze.

Podejrzewam, że pewna znacząca tajemnica kryje się w fakcie, iż Cnota — Lillian Gish znosiła ucisk we wszystkich swoich filmach. Zanim rozszyfrujemy tę tajemnicę — rzut oka na ekranowe dzieła następczyni Lillian, wielkiej Greta. Co prawda, cnota Greta Garbo nie była tak niewątpliwa, jak cnota Lillian. Serce wszakże Greta zachowywała czyste na pewno, do zejścia na śliską drogę skłaniała ją bądź konkretny (i altruistyczny) powód — w „Zatrąconej uliczce” z roku 1925 była to chęć pomocy głodującej rodzinie, bądź jakieś fatum ogólnie, a przekłete — sławna „Anna Christie”. Jeszcze głośniejsza „Dama Kameliowa”. Ważne, że w żadnym wypadku nie było w stanie naruszyć Greta od wewnątrz, dzięki czemu nigdy nie ulegała przekreśleniu możliwości odnowy moralnej. Jej narzędziem był mężczyzna. Szlachetny, kochający, przebaczący, podnoszący kobietę z dna upadku, słowem, prawdziwy bohater tych filmów, które po to może wymyśliły Cnotę i nekaly ją potem srodze, by mężczyzna rycerski i rozsądny pospieszył na ratunek.

KARIERA I UPADK WAMPA

Jesliby rozpatrzyć bliżej cechy Cnoty i cechy Wampa, to okaza się, że pierwsza buduje, druga zaś niszczy mężczyzn. Pierwsza wyzwała w nich wszystko co najlepsze, siłę, zdolności opiekuńcze, i ogzewa uczuciem, które ją samą przepelnia. Jest wierna, nie zawodzi w szczęściu i nieszczęściu, towarzyszy mężczyźnie na dobre i na złe. Jest matczyna i kocha-

jąca. Sama potrzebując pomocy, na swój kobiecy sposób płaci zaciągnięte długi z nawiązką. Wamp stanowi zaprzeczenie Cnoty, działa — rzecz by można — mniej na ducha, bardziej na instynkt mężczyzn. Proces niszczenia przebiega, owszem, miłe, cóż z tego jednak, skoro filmy nauczyły nas, że tylko to dobre, co się dobrze kończy, a opowieści o Wampach rzadko miewają dobry koniec.

Nie ma przynajmniej dobrego końca opowieść o Wampie najklasycyjszym z klasycyjszych, o „Niebieskim aniele” w motyłu w wykonaniu Marleny Dietrich. Odziana w rozchybotane strusie pióra, w koronkowej pończoszki, w falbanki i cylinderek, urzekła złotowłosa Marlenę, czyli Lola-Lola, starszą i przyzwoitę profesora gimnazjalnego, Immanuela Ratha, i profesor jak zaczarowany powędrował za Lola-Lolą w

to rozmienione na drobne, podzielone w miarę sprawiedliwie między wielu.

Okiełznany po trosze na ekranie, Wamp tym niebezpieczniejszy wydał się żonom. Myślę, że nie kto inny, tylko właśnie one prawowite małżonki kinowych widzów przyczyniły się do zepchnięcia Marleny na 122 miejsce sporządzonej w roku 1937 listy kasowych rekordzistek. Greta zajęła na tej liście miejsce 69. Łatwo odtworzyć domniemane rozumowanie żon: gdy Wamp nie grozi życiu, ustępują przeszkody, by pójść za jego wołaniem. Żony pozostawały obojętne na bajania męzców o katharsis. Strzegły swych mężów zardrosnie nawet przed tym, co psycholog nazywa „zaspokojeniem zastępczym”, zresztą i sami mężczyźni wpręde odwrócili się od Wampa.

Przekonali się bowiem, że choć oni kochają Wampa, to

tam też przesuwają się niekiedy złowieszcy cień Wampa. Bywa nim zwykłe żona, morderczyni męża. Od takiej roli nie ustrzegła się Michelle Morgan, tytułowana „pierwszą damą filmu francuskiego”.

SMIERĆ KOPCIUSZKA

Bohaterka, więcej — heroína na miarę dawnych wielkich wcieleń Cnoty i Wampa, urodzi się w filmach nowej fali. Dorównując poprzednikom siłą dramatyczną, będzie jednak od nich całkowicie różna. Będzie bardziej człowiekiem niż kobietą.

Opisał ją w obszernym artykule J. P. Alexander. Przydomkiem, jaki jej nadał, stanowi przeciwieństwo dawnego miana „pierwszej naiwnej” (morgue). Simone Signoret w „Miejscu na górze”, Mary Ure w „Miłości i gniewie”, Emmanuele Riva w

„Czy emancypacja Kobiety w życiu i na ekranie oznacza, że dwuczłonowy wzór, w jaki mężczyźni ujęli postaci kobiece, przestał obowiązywać?”

Nowa fala porządnie obmyła brzegi, po których przechadzały się Cnota i Rozpusta. Jednakże wydaje się, że odświeżone nadal zająwają swej przechadzki.

Odświeżone i zarazem daleko, daleko od mężczyzny silniejsze. Jeżeli Lillian Gish i Greta Garbo obficie grzały łzami swoje filmy, to we współczesnych filmach Cnoty, czy zwyyczajnej — Dobrej Kobiecie, krąg płaczących powiększają mężczyźni. Placze Zampano w zakończeniu „La Strady” i są to łzy uzdrwiającej. Wywołała je Geismina szlachetna i przebacząca, podnosząca mężczyznę z dna upadku. Tymi słowami charakteryzowałam rolę starszowiekich bohaterów męskich, obecnie, jak się zdaje, rolę odwróciły się. Dzisiaj Cnota broni się sama i więcej, przyjmuje odpowiedzialność za mężczyznę.

Nie dziwnego, że w ingredientach postaci Cnoty górę biorą pierwiastki macierzyńskie. Nasza polska Cnota, KRAFTOWA w „Jak być kochaną” robi to, co zawsze robiły matki: karmi i poi, udziela opieki i schronienia przed groźnym i wrogim światem. I jak matka nie baczy na osobistą wartość tego, kogo chroni, Cnota przestaje być uboga duchem. Za przykładem heroini nowofalowych nad osobę mężczyzny przedkłada zadość uczynienie potrzeby serca.

Ale — i tym się różni od heroini nowej fali — Cnota nie porzuca mężczyzny, gdy ten nie okazuje się jej godny.

Co do Wampa — demoniczne stworzonko okrzepło i jego izialność nie ogranicza się do przyjemności sfery życia mężczyzny. Wamp wkroczył na tereny poprzednio zastrzeżone, zburzył fortyfikacje mieszczańskie sypani, jako „Królowa pszczoła” wysysa sily witalne ze sprawy przyszłych dzieci. Zdobnąc czoło okularami, które upodabniają jej twarz do pyszka pszczoły — jakże uporzeczywa, we Włoszech i w Polsce, jest ta owadzia symbolika — wtrąca się do spraw zawodowych. Wamp zawsze wykorzystywał mężczyznę, traktował go użytkowo, lecz teraz, jak się zdaje, stracił miarę.

Mnoży się przy tym z łacie owadzia predkością. Nieszczęsny obiekt łowów w „Polowaniu na muchy” ledwo zwoinił ucisk czulek jednego Wampa, wpada w drugie. Własnej żony.

I zbrzydł ten Wamp kina lat 1960. Był może znanie czasu, znanie kre-su epoki rycerskości awiacyjna się w owym myzogynicznym obrucaniu brzydota zlej, ale bądź co bądź, kobiety. W każdym razie nie przykuwa ona marzeń nieczyli, ani filmowych partnerów, ani kinowych widzów. Świecą puszkami pierwsze rzędy sal kinowych i pusto robi się na ekranie wokół nadto samodzielnej, nadto wymagającej — Zmory.



świat. Długa to była wędrówka, wiodła od miasta do miasta, a im dłużej trwała, tym bardziej upokarzala profesora. Bo Wampa nie zdołał uświadczyć, ani nie oczyścił ślub z profesorem, reka mężczyzny posiadała moc zbawczą tylko dla zbłąkanej Cnoty. Wreszcie profesor wrócił do gimnazjalnej klasy i tam samotny, pohambiony umarł.

Od tego czasu, to jest mniej więcej od roku 1970, Wamp rza dzieł już zbierał ofiary z życia i honoru. Raczęj ponoszono dla Wampa ofiary materialne,

Wamp ich nie kocha. A czy mężczyzna może się zgodzić, żeby go nie kochano?

Ekranu późnych lat trzydziestych, czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych zaludniają ni to Cnotki ni to Wampiatka, częściej dziewczeczki niż kobiety dojrzałe, koleżanki, z którymi można konie kraść, jak Ginger Rogers, kształtne nimfy do niezobowiązującej, pogodnej przyjemności, jak Bardotka. Wielkie namiętności rozblyskują jaśniejszym płomieniem przeważnie w filmach kryminalnych,

„Hirozynie, mojej miłości”, Jeanne Moreau w „Kochankach” i „Moderato Cantabile”, świadomie szukają nie tyle u-szlachetniających, ile uczulowiczających przeżyć. Częściej gorzkie niż słodkie, ale pozwalających czuć, że się żyje. Polowanie na mężczyznę skończyło się, bohaterki polują na wszechogarniającą miłość. Na miłość, powiada Alexander, która nie to, że zwycięża wszystko, ale po prostu JEST wszystkim.

I dlatego J. P. Alexander obwieścił śmierć Kopciuszka.

Dłonie matki, oczy dziewczyny

PACHNIE KOBIECYM, DZIEWCZĘCYM ŚWIĘTEM MARCOWA ULICA. DZIŚ KAŻDY PRAGNIE, ABY BLISKA SERCU KOBIETA BYŁA SZCZĘŚLIWA. PRZETO KWIATY, DUŻO KWIATÓW, CZĘSTOKROĆ NIESIONYCH WSTYDLIWIE, KORONĄ KU ZIEMI.

A nad wsią zwykły, pow szedni dzień. Z ranną dółką pienistą, z poskrzypem studziennych wałów, w parujących ziemniakach ze śrutą. Jakoż nie wszędzie ten miły zwyyczaj przyjął się w obyczajowości społecznej. Na wsi bowiem mocno tkwi w świadomości ludzkiej ciężar tradycyjnych przyzwyczajzeń. Wśród ludzi

starszego i średniego pokolenia mało kto pamięta i to choćby symbolicznie, o docenieniu wysiłku kobiety. Ona zawsze rodziła dzieci, stała nad parującą kuchnią, przerywała dioniami pełne chwastów zagony. Matka i żona, siostra — pracownica pola i obory.

I to jest czymś zwyčajnym, tak oczywistym, że nie

wymaga komentarza. Chcesz żyć, utrzymać rodzinę — musisz pracować, choćbyś była partnerem nawet bardziej obciążonym w codziennej harówce.

Rolnik powiada, że w życiu kobiety zaszła ogromna zmiana na lepsze. On potrafi to dostrzec, ale jednocześnie nie widzi, że i w jego pracy nastąpiła ulga.

Oto przyszły do wsi maszyny. A maszyny w poważnym stopniu zmieniają warunki życia i pracy kobiety wiejskiej. Mężczyźni to widzą i dlatego uważają, iż 8 Marca na wsi jest fanaberia, czczym wymysłem. A kiedy nasze święto, pytają, czy na czterdziestu męczenników?

Nie pamiętają, że jest wiele dziedzin pracy, gdzie nie dotarła mechanizacja, gdzie nie ma zorganizowanych usług. Cała przydomowa krzątania, wymagająca wiele siły leży „czarnym ugiem”. Poje nie bydlą, obrządzanie in-

wentarza, dojenie krów — to tylko niektóre elementy z codziennych obowiązków kobiety wiejskiej, gdzie nie lub prawie nie zmieniło się od dziesiątków lat.

Więź roślinie w młoda inteligencję. Ona niesie ze szkół pod strzechę tę nową obyczajowość, którą należy zasiać w rodzinnej wsi, utrwałać. I tak się dzieje, choć nie wszędzie. Przeto niech będzie to dobre słowo, ciepły uśmiech, miły nastrój. Nawet bez kwiatów, gdyż tych nie uświadczy na wsi w końcu zimy.

Głównymi krzewicielkami, osobami podnoszącymi rangę marcowego święta na wsi się nauczycielki. To z ich inicjatywy maluchy stawiają koślawe litery, malują wyjęte z baśniowego świata dziećcia — kwiaty na laurkach. A te małe brzdące dadzą jeszcze w jutrzejszej porze susz na półdóściółkę w oborze, przytargają z zawianej śniegiem studni wiadra wody. Wyplacą się

matkom w maleńkiej czastce za szcerwieniele w mrozie, mydlinach, dłonie, za przymglone od cerowania oczy, za przykrótki, czujny sen.

A dorośli nie powinni się wstydzili brania przykładu z maluchów. Wszak uciekający do przemysłu mężczyźni cały ciężar prac w gospodarstwie zwalają na kobiety. Ale one też idą do fabryk. Dom, pole, fabryka. Niedosę, umęczenie. Dla wspólnego dobra. Na radio, telewizor, krawat i koszulę dla męża czy brata.

A idące pod gwiazdami w pył tkalni, przedalni dziewczyny czynią to dla was, chłopcy. Aby były piękne, modnie ubrane, pachnące jak te z miasta. W tym dniu pamiętamy dłonie matki. Dłonie w wie-trze, przydymione słońcem, skłute ostem, żytnim osłeniem. Pachnące chlebem, makiem.

I pamiętamy, oczy matek, żon, sióstr. Oczy niedospane,

pełne troski o nas, pełne łez, czujne, upatrujące trwożnie na powrót z biłajtki w re-mizie strażackiej.

One, te kobiety, wydawały nas na świat. Uczyli pier-wszych ptaków, zwierząt, pierwszego kochania. I darzyły pierwszą miłością, po-calunkiem pachnącym jabłkami, pieszczotą włosów pachnących sianiem.

Przeto pamiętajmy o tym dniu, o dniu święta dla oczu pełnych synów i mężów, dla włosów całych w sronie, pochylonej głowy.

Ale pamiętajmy, że nie idzie tu tylko o ten jeden, jedyny dzień. Jest ich jeszcze 364. Niechże w ciągu tych pozostałych dni pojawia się często pod strzechą gospodarz z fartuchem na piersiach, z rondlem i ścierką w ręku. To żaden wstyd, bo przecież wokół wciąż kru-szeje tradycja. A w dniu 8 Marca uśmiech i kwiatek. Dla wiejskiej Ewy, która może najbardziej na niego zasługuje.

WARSZAWSKI NOTATNIK KULTURALNY

Adam Hanuszkiewicz podkreśla chętnie w różnych swoich enunciacjach, że jeżeli chodzi o publiczność, to najbardziej interesuje go młodzież. Nawiazał z nią kontakt, czuje ją i rozumie, wie, co ta młodzież odrzuca, co ją nudzi i nuży, co jej odpowiada. Przy stosowaniu się do tych młodzieńczych gustów i smaków Hanuszkiewicz w widowiskach, które reżyseruje i inscenizuje, zwłaszcza jeżeli chodzi o klasykę, daje młodej widowni coś w rodzaju lekcji pokazowej, w jaki sposób ma ona dany utwór odbierać i co ten utwór ma dla niej oznaczać. Jednym z takich eksperymentów pokazowych Hanuszkiewicza stał się ostatnio „Kordian”. Zwłaszcza w dwóch pierwszych częściach Hanuszkiewicz zbu-

ronych faktów i zdarzeń historycznych. Młoda widownia zamyśla się na chwilę nad tym wszystkim co dawało dusiło, rozpinano na krzyżu jej ojczyznę.

Jeżeli dało się to osiągnąć to można przejść do porządku nad różnymi karkołomnymi pomysłami reżysera i inscenizatora. Trudno natomiast pogodzić się ze scenografią, z tym, że cały dramat rozgrywa się w ponurych lochach. I jeszcze jedno: jeżeli utwór ma przede wszystkim przemawiać do młodzieży, jeżeli ma być swe go rodzaju wykładem naszej historii, to rzeczą ważną i istotną jest wyrazistość i nośność tekstu Słowackiego. Niestety pod tym względem „Kordian” wiele pozostawia do życzenia.

Dwie sceny, Narodowy i Ateneum sięgnęły po utwory napisane i zrealizowane na początku naszego stulecia. Zarówno „Czajka” Czechowa (Narodowy) jak i „Głupi Jakub” Rittnera (Ateneum) zrodziły się w okresie, w którym książka i teatr były jedynymi niemal instrumentami i drogami przekazywania myśli, uczuć, idei autora. Powstawał dopiero film, nie istniało radio, nie było telewizji. Nawet inscenizator najbardziej pomysłowy nie mógł więc manipulować tworzywem autorskim jak miazgą, ciąć tekst, przykrawać, stawać się współtwórcą i współautorem. Skoro mowa o sztukach owego okresu, warto zwrócić uwagę, że większość ich zajmuje się o sami szarych, małych przeciętnych ludzi. Niezależnie od roztrząsań i refleksji filozoficznych autorzy nie kryją się z tym, że emocjonalnie są po ich stronie.

Reżyser „Głupiego Jakuba” Jan Swiderski uszanował w całej pełni tekst Rittnera, dał panoramę zaścianka wiejskiego ukazał w sposób dyskretny niszczycielską, demoralizującą potęgę pieniądza, znajdującego się w posiadaniu jednostki. Główna postać sztuki, Szambelan to w jego ujęciu chciwiec mizantrop, porażony na konie swego próżniaczego żywota niewolniczą namiętnością do młodej dziewczyny z ludu. Dziewczynę tę, której jedynym celem w życiu jest zostać bogatą ziemianką grabieżcą przekonywającą Anę Seniuk. Z galerii ról epizodycznych wymienić należy dobrze Łódźki znanych Barbarę Rachwalską, przepyszną w roli szynkarki wiejskiej oraz Bogdanę Baera, który ostro zarysował sylwetkę niewydarzonego porucznika CK armii austriackiej.

O ile w „Głupim Jakubie” utrzymane zostały na ogół proporcje między poszczególnymi postaciami, o tyle w „Czajce” Czechowa reżyser Tadeusz Minc (również doskonale znany publiczności

Łódzkiej) poszedł na to, aby głównym ośrodkiem zainteresowania uczynił podstarzałą aktorkę Arkadynę będącą w utworze postacią raczej drugoplanową. Skorzystała z tej możliwości Irena Eichlerówna i w rezultacie mamy do czynienia z czymś w rodzaju sołwki wielkiej gwiazdy. Sołwka ta nie daje pełnego zadowolenia, ponieważ Eichlerówna wydobyla z postaci Arkadyny jedynie jej kabotyństwo, podkreśla i wypukla jej przekonanie, że to megalomańskie beztalencie jest drugą Eleonorą Duse. Z początku demonstracja tego kabotyństwa zaskakuje, interesuje. Na dłuższą metę jaskrawa karykatura, pozbawiona cech człowieczeństwa, zaczyna dreczyć i nużyć. Ujęcie roli Arkadyny sprawiło, że jej kochanek pisarz Trigorin (Andrzej Szczepkowski) w obawie, że dwa grzyby w barszczu to za dużo, zrezygnował niemal z kabotyństwa i dał postać poetycką liryczną, co nie było i nie mogło być chyba intencją Czechowa.



Nowinki z importu

Choć jestem zaprzysięgłym humanistą, staram się na łamach T-O nie pomijać spraw techniki telewizyjnej. Niewątpliwie bowiem rozważania na tematy telewizyjne ograniczające się do spraw programowych i artystycznych są niepełne. Nie uwzględniają niezwykle ważnego czynnika, który poszerza możliwości ekspresji i je jednocześnie limituje.

Przez lata całe utyskiwaliśmy na techniczne zacofanie polskiej telewizji. Z zagranicy napływali wieści o nowinkach technicznych, od których nasi programowcy dostawali zawrotu głowy i popadali w stan zwątpienia, czy kiedykolwiek będziemy dysponowali podobnymi zdobyczami.

Nie było u nas jakiegokolwiek skoku jeśli chodzi o technikę telewizyjną. Zmiany narastały jednak nieprzerwanie i dziś dysponujemy już całkiem niezłą bazą. Pojawili się wytesknlone aparaty do zapisu magnetycznego obrazu, przenośne kamery dźwiękowe itp. Ostatni nabytek, który daje o sobie znać ewidentnie na małym ekranie, to stół trickowy.

Może nie każdy z telewizzów wie, co się za tą nazwą kryje. Nie dam opisu technicznego tego urządzenia, ograniczę się do efektów ekranowych. Otóż od niedawna w czasie nadawania dzienników, magazynów sportowych, czy innych programów informacyjnych ekran zaczął rozpadać się na różne ruchome płaszczyzny. Czasem pojawił się wąski czarny pasek u dołu ekranu, a na nim nazwisko lektora (dotąd napis taki wyświetlany był na tle obrazu ze studia, wywołując nierazdość zakłócenia w jakości obrazu, warzenia w fonii itp.). To znowu w środku ekranu pojawił się gwiazdka, która rozrastała się i ściera obraz, by zastąpić go innym. To właśnie działa nowinka techniczna — stół trickowy.

Daje on realizatorowi programu duże szanse urozmaicenia emisji. Pozwala dzielić ekran na płaszczyzny najwyższych kształtów, wprowadzać różne diafragmy kulkowe, rozszerzające się szczytami itp. Wyobraź sobie, ile uciechy sprawia taka aparatura personelowi telewizji. Może się przy jej pomocy pięknie zabawić, a i telewizzom spodobają się to z pewnością.

Tak, się pod jednym warunkiem! Szansy, jaką daje stół trickowy nie wolno nadużyć. Umiar w korzystaniu z niej może przyczynić się do utraty równowagi programowej — przyprowadzić szybko o uczucie podobne do przejedzenia. Wszystkim rządzącym powinny przesłanki treściowe. Treść programu musi determinować środki formalne, do których się uciekamy.

„Uciekamy”. To słowo przypominało mi „Uciekiniera”, który niedawno zakończył swój triumfalny galop przez nasze ekrany. Gdy w wieczór środy wyjechał zakończył się gorzkie przygody doktora Kimballa, wyjechał przypadkowo przez okno na ulicę i na moment zmartwiłem. Ruchliwa zwykle o tej porze — była jak wymarła.

Okazuje się, że tego wieczora tylko nieliczni odmówili sobie oglądania szczęśliwego rozwiązania losów ulubionego bohatera. W ostatnich tygodniach temperatura zainteresowania „Uciekinierem” wyraźnie wzrosła. Działy przy tym jakieś nieujawnione sily. Ktoś wrócił z NRD, ktoś z Czechosłowacji, gdzie podobno wcześniej zakończono emisję tego serialu. Poszły „w naród” podszept, że to porucznik Gerald zabił żonę dr. Kimballa, albo że Kimball ginie w ostatnim odcinku.

Wszystko okazało się wierutną bujną, a przecież plotki te spełniły swoją rolę, siejąc w sercach niepokój który rozładować mogło tylko obejrzenie na własne oczy zakończenia. Dział mamy to już, jak się przyzwyczailiśmy mówić, z głowy. Serial z importu był długi, okresami odbiegał daleko od głównego wątku, ale pod koniec wrócił do właściwej kolejności i dlatego rozstaliśmy się z nim z sympatią.

Czy w jego miejsce otrzymamy coś równie atrakcyjnego? Z importu, czy może z produkcji antyimportowej?

Władysław Osiński

spektakle tygodnia

	spektakli widzów proc.	
TEATR WIELKI		
„Straszny dwór”	1	1260 100
„Romeo i Julia”	1	1260 100
„Faust”	1	1260 100
„Lohengrin”	1	1260 100
„Tosca”	1	1260 100
„Książę Igor”	1	1260 100
NOWY		
„Szkoła kobiet”	2	800 80
„Kordian”	2	1000 75
„Życie jest snem”	1	700 100
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	1	700 100
„Za siedmioma górami”	2	1200 90
NOWY		
Mała Sala		
„Mąż i żona”	3	500 90
„Księżyc świecił nieszczęśliwym”	2	350 80
„Bliski nieznajomy”	1	150 75
JARACZA		
„Irydlon”	2	900 88
7.15		
„Jadła wdowa”	3	1260 100
ROZMAITOSCI		
„Piacówka”	1	514 100
POWSZECHNY		
„Boso, ale w ostrogach”	3	1980 100
„Ojcowie rodzą się w szafach”	1	600 95
„Advocatus diaboli”	1	500 85
OPERETKA		
„Pierwiosnek”	3	2812 85
FILHARMONIA		
3 koncerty symfoniczne		1640 88

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„DZIEŃ OCZYSZCZENIA” to kolejny bodaj siódmy, film Jerzego Passendorfera, którym reżyser ten kontynuuje zaczęty „Zamachem”, cykl filmów poświęconych udziałowi Polaków w II wojnie światowej i ich wojennym losom. Każdy z tych filmów przedstawia inny fragment dramatycznych wydarzeń, całość ma złożyć się na szeroką panoramę historii narodu z tamtych lat.

„Dzień oczyszczenia” to film budzący wątpliwości, czy pozostawanie twórcy przy jednym temacie wpływa korzystnie na sposób jego interpretacji i artystycznego ujęcia. Przy temacie tak wielkim i tak złożonym trzeba talentu ogromnego, by mu podolać. Intencje popularyzatorskie przestają w pewnym momencie wystarczać, zwłaszcza, gdy jak w „Dniu oczyszczenia”, prowadzą do uproszczeń, a tym samym, wbrew zamiarom, przynoszą obraz historii niezbyt prawdziwy. Temat „Dnia oczyszczenia” zawierał w sobie szansę na film znakomity, tak się, niestety, nie stało.

Film zrealizowano na podstawie powieści „Kres” Jerzego Przędzickiego, przedstawiającej złożony układ stosunków między radziecką a polską, w tym wypadku AK-owską partyzantką, między którymi możność porozumienia i

wspólnego działania determinowana była różnicą programów politycznych. W powieści Przędzickiego sprawą centralną jest proces kształtowania się postaw, w których do głosu dochodzi realistyczna ocena sytuacji i historyczne myślenie, kiedy świadomość potrzeby wspólnego działania staje się początkiem świadomego wyboru racji historycznych. W filmie Passendorfera sprawa ta istnieje, potraktowana została jednakże niemal w konwencji szkolnej czytanki.

Z opowieści o historii tragicznej, nie prostej, wymagającej od jej uczestników nie tylko postawy bohaterkiej, ale określonej mądrości polityczną postawy, do której droga poprzedzona była barierami niechęci, wręcz nienawiści, Passendorfer uczynił sensacyjną opowieść, w której wszyscy w zasadzie są ludźmi dobrej woli, a ich konflikty są w gruncie rzeczy pretensjami drobnymi, wynikającymi często także z innej żołnierskiej tradycji. To co historycznie, a więc politycznie najtrudniejsze i najostrejsze przedstawione zostaje w dialogach i sytuacjach, które nie zadowolą tych, co znają choćby tylko „Popiół i diament” Andrzejewskiego i Wajdy. Nie wolno tak upraszczać historii, tak prymitywizować ludzkie racje psychologiczne i polityczne, nawet wtedy, gdy są błędne. Więcej w tej filmowej lekcji historii szkody, niż pożytku. Trzeba bowiem wierzyć swemu odbiorcy, który z dystansu 25 lat tę historię in-

terpretuje. Passendorfer zmarnował nie zwykle interesujący i potrzebny temat. Jego intencje popularyzowania historii zaprowadziły go w tym filmie w rejony „Czterech pancernych i psa”, w świat wojny, w której walka jest rzeczą wcale nie tak tragiczną, wróg w końcu bardzo naiwny, bo dający się tak łatwo zaskoczyć i pokonać, a wszystko efektowne, bo ładnie i kolorowo fotografowane i pirotechnicznie zachwycające. Jeśli zaś najnowsza seria „Czterech pancernych” budzi już nasze ogromne zastrzeżenia, to co powie o „Dniu oczyszczenia”, który winien być filmem ważnym?



Nie pierwszy raz przychodził mi dzielić się z czytelnikami w tym samym dniu uwagami o filmach tak różnych kategorii jak wyżej wspomniany i filmie, o którym za chwilę. Repertuar kinowy nie jest jednakże, na szczęście zresztą, układany tematycznie.

Amatorom amerykańskich komedii obyczajowych, których bohaterkami za zwyczaj bywały Shirley McLaine i Doris Day polecić obecnie można „PO RADNIK ZONATEGO MĘŻCZYŹNY”, pod którym podpisany jest znakomity tancerz i choreograf, tym razem występujący w roli reżysera, Gene Kelly. Tak jak wszystkie propozycje tej serii, film ten jest w miarę zabawny, i w miarę nudny. Już tytuł filmu su-

geruje bohaterów i treść tej historii, której głównym tematem jest oczywiście problem wierności i zdrady małżeńskiej. Historyjka 40-letniego pana, który nie tyle może z istotnej potrzeby czy chęci, lecz dla obowiązującej niemal zasady zamierza zdradzić swoją żonę, jest okazją dla prezentacji najprzeróżniejszych reguł, które w grze zwanej zdradą małżeńską mają obowiązywać. Reguły te egzemplifikowane najróżnorodniejszymi „wziętymi z życia” sytuacjami, składają się na lekcję, której udziela bohaterowi filmu jego „swawolny” przyjaciel. Pointy nie wolno oczywiście zdradzić, lecz stali widzowie amerykańskich komedii, znający dobrze jej zasady na pewno zaskoczeni nią nie będą. Nie mogą sobie odmówić natomiast przyjemności zacytowania fragmentu wypowiedzi G. Kelly, w której oświadcza, iż „Jego film będzie szokujący dla Amerykanów, ponieważ pokazuje mężczyzn zdradzających swe żony”, po czym dodaje: „w Ameryce hipokryzja sięga szczytów”. Jeśli więc chcemy, możemy ten film zrealizowany bądź co bądź w 1967 roku uznać za akt odwagi, za rzecz społecznie użyteczną. Człek się jednak stale czegoś nowego uczy i doświadcza. Swoją drogą nie będę chyba odosobniona w sądzie, że wolę G. Kelly jako tancerza i choreografa („Deszczowa piosenka”, „Zaproszenie do tańca”) niż jako „odważnego” reżysera.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

DANIEL DEFOE

Urodził się w roku 1660 w Londynie. Jego ojciec dorobił się na wyrobie świec, potem został rzeźnikiem. Daniel Defoe zapisał się do cechu rzeźników nie uprawiając jednak zawodu ojca. Ten niespokojny duch niespokojnych czasów był podróżnikiem, fabrykantem, pamphletystą o niesłychanie ostrym piórze, kształcił się na pa-

niem ubezpieczeń od klęsk żywiołowych i walczył o prawa kobiet, ogłasza anonimowy pamflet, w którym w sposób przesadny karcił dysydentów, choć sam właśnie jest dysydentem. Kiedy potapano się wreszcie, że pamflet jest kpiną i kto jest jego autorem Daniel Defoe idzie pod pręgierz i do więzienia. Gdy go prowadzą dla odbycia kary, przechodnie obrzucają go kwiatami,

nym kapitalizmie. Defoe poucza w stylu i duchu mieszczańskiego purytanizmu. Robi to w sposób ciekawy. Przedstawia całe bogactwo obyczajowości i sto sunków społecznych Anglii, w czasach kiedy działy kupcy są podróżnikami i awanturnikami, zdobywają rynki zbytu zagarniając ko lonie i gruntują swoją pozycję społeczną poprzez gromadzenie majątków.

Dla literatury wartość pisarstwa Defoe jest znaczna. Uchodzi on za jednego z twórców powieści realistycznej, a jego „Robinson Crusoe” książka przerabiana po wielokroć w różnych czasach, czytana jest do dziś choć stanowi już raczej lekturę młodzieżową. Prócz „Robinsona” napisał inne powieści podróżniczo-przygodowe jak „Captain Singleton” i „Colonel Jack” oraz romanse „Roxana” i „Miłosne przygody Moll Flanders”. Zauważmy, że obecnie na ekranach łódzkich kin wyświetlany jest film pod tymże tytułem, na kręcony na podstawie powieści (choć akcja filmu nie jest wiernym odbiciem akcji powieściowej). Napisał też Defoe „Dziennik roku zarazy w Londynie”, „Dziennik” stał się inspiracją dla Ionesco, który ostatnio napisał utwór sceniczny pt. „Jeux de massacre”. Postać i dzieła Daniela Defoe przypomniała obecnie prasa francuska z okazji wydania u Gallimarda drugiego tomu dzieł tego wybitnego pisarza angielskiego.



Daniel Defoe

stora, ale opuszcza seminarium by terminować w domu handlowym, bierze udział w walkach religijnych i politycznych, zbliża się do wigów i torysów by zdradzać kolejno jednych dla drugich, walczy na równinie Sedgemoor przytaczający się do buntu tkaczy i chłopów, potem staje się agentem politycznym Wilhelma Orańskiego, uprawia dziennikarstwo, a kiedy brak mu sensacyjnych wiadomości z całym spokojem ducha zmyśla je; interesują go sprawy bankowe, domaga

ponieważ dla londyńskiego ludu uchodził za obrońcę swobody. Pisze powieści, wiersze, traktaty i broszury, ale przede wszystkim czuje się kupcem, choć co to z niego za kupiec skoro wcale nie jest w długach i bez pieniędzy. Aby wyposażyć trzy córki pisze „Robinsona Crusoe”, zdobywa uznanie i sławę, ale zarabiała na powieści bardzo mało, natomiast majątek na jego książce robił wydawca.

Pisarstwa twórczość Defoe jest odbiciem mieszczańskiej mentalności we wcza-

NOWA KSIĄŻKA KAWABATY

Laurat Literackiej nagrody Nobla za rok 1968, Japończyk Yasunari Kawabata złożył w jednym z paryskich wydawnictw rękopis swojej nowej powieści pt. „Spłace piękności”. Treść książki są rozmyślenia starszego mężczyzny o gejszach, które odegrały rolę w jego życiu.

Przypomnijmy, że w tym maczeniu na polski mamy powieść Kawabaty pt.

„Kraina śniegu” (dwa wydania).

DLA UCZCZENIA TWÓRCZOŚCI TRNKI

W paryskim Muzeum Człowieka odbyła się staraniem Towarzystwa Francusko-Czechosłowackiego uroczystość dla uczczenia twórczości niedawno zmar-



Rysował Jiri Trnka

tego twórcy filmów lałkowych J. Trnki. W uroczystości, której przewodniczył znany i bardzo popularny rysownik francuski Jean Effel, wziął udział przedstawiciel CSRS w Paryżu.

WSTRZYMANA POWIEŚĆ

Paryskie wydawnictwo Flammarion otrzymało sądowy nakaz wycofania ze sprzedaży książki Paula Valjara pt. „Zaproszeni na polowanie”. Przeciw rozpowszechnianiu książki wniósł protest niejaki Philippe de Romans, bowiem jeden z bohaterów powieści został nazwany jego imieniem i nazwiskiem.

PIERWSZA NAGRODA DLA LUDOWEGO ZESPOŁU ARTYSTYCZNEGO WĘGIER

Węgierski ludowy zespół artystyczny „Szkarłatne róże” z Budapesztu zdobył pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Folkloru w Agrigento na Sycylii. W Festiwalu brało udział trzynaście zespołów z całej Europy. Druga nagroda została rozdzielona pomiędzy zespół muzyczny „Majorettes” z Lyonu i rumuński zespół ludowy.

DLA TYCH, KTÓRZY UMIEJĄ PATRZEĆ

— Pod takim tytułem paryski tygodnik „L'Express” omawia dwie książki trak-

tujące o sztuce: „Anamorphoses”, którą napisał Jur-gis Baltrusaitis i „L'Avant-garde en peinture” (Awangarda w malarstwie), której autorami są Pierre Cabane i Pierre Restany.

Mimo, że są to różne książki zawierają m. in. omówienie bardzo podobnych problemów sztuki. I tak pierwsza z tych prac omawia obrazy specyficznie malowane, zdeformowane celowo. Przedmioty lub twarze widzimy na tych płótnach czy rysunkach jakby oglądane w krzywym zwierciadle. Druga książka, napisana przez dwóch krytyków sztuki traktuje o „tajemniczych obrazach”, tzw. „Vexierbilder”, które uprawiał m. in. Erhard Schon, uczeń wielkiego Duerera. Rysując twarze wydłużał on tak ry-sy portretowanej osoby że patrząc na obraz przedstawiało się dostrzegać jakakolwiek twarz, a wizerunek stawał się abstrakcyjną plataniną plam i kresek. Dopiero oglądając ów wizerunek pod jakimś kątem spostrzegano się normalny portret. Dla zilustrowania tej zasady zamieszczamy przy tej notatce „tajemniczy obraz” portret Karola I. Na pierwszy rzut oka jest to rysunek abstrakcyjny. Wystarczy jednak mocno go odchylić, lub podnieść trzymając w pozycji poziomej, do samego oka, abyśmy zobaczyli

normalny wizerunek portretowanej twarzy.



Portret Karola I

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ◆ JAN KOPROWSKI — Spotkanie w Bukareszcie
- ◆ O trudnych sprawach papieru z dyr. JERZYM OLEJNICZAKIEM rozmawia WŁODZIMIERZ STOKOWSKI
- ◆ TERESA WOJCIECHOWSKA — Wielki smutek w polskiej modzie
- ◆ Wędrowki polskich filmów, recenzje, felietony, nowela kryminalna.



Refleksja o mojej szkole

SZKOŁA AWANSEM ALEKSANDROWA — ZACIERA JĄ SIĘ TWARZE — POZOSTALI W PAMIĘCI — DWA OKNA NA PARTERZE — JAKIE STOPNIE DAJE NAM ŻYCIE?

Znaleźliśmy się na progu roku, kiedy posypią się jak z rękawa rocznice i jubileusze. Jedne obchodzone będą hucznie i gromko, inne skromnie i kame-rainie.

Więc chciałbym dziś o mojej szkole, moim liceum, które właśnie kończy 25 lat i jest na pewno jedną z setek szkół kończących w Polsce Ludowej dwudzieste piąte właśnie urodziny. W przedwojennym Aleksandrowie — wielonarodowej osadzie przemysłowej pod Łodzią — nie było żadnej szkoły średniej. Tak więc awans Aleksandrowa, który rozpoczął się od dnia 17 stycznia 1945 roku, wyrażał się — jakież to symptomatyczne — właśnie powstaniem szkoły średniej w niespełnia trzy miesiące od momentu, kiedy pierwsi żołnierze z czer-

wonymi gwiazdami na pępachach przebiegli główną ulicą miasteczka.

W marcu powstała moja szkoła — w marcu 25 lat temu. Kiedy przechodzę dziś do tramwaju obok tego szarego gmachu, widzę, jak na dawnym boisku rosną mury nowego szkolnego budynku. Trudno się z tego nie cieszyć, ale przecież dla mnie „moja szkoła” to przecież będzie zawsze ten stary gmach, te podłogi nasyczone pyłochłonem, ten ciemny, wąski korytarz na pierwszym piętrze. I te akcje, które sadziliśmy przy ulicy, które wiosny albo jesienią. Wydaje mi się nawet, że poznaję to drzewo, które zasadziłem właśnie ja — ale to pewnie tylko wyobrażenia, nie można pamiętać po latach takich drobniactw...

Bo przecież zaierają się w pamięci twarze kolegów, twarze profesorów, którzy odeszli do innych miast, albo odeszli na zawsze. Na aleksandrowskim cmentarzu jest grób jednego z założycieli mojej szkoły — oficera baltyckiej floty, surowego ma tematyka o bardzo do-brym sercu — Wacława Zgierskiego. W szarym mundurze — prosto z oflagu w Woldenbergu — zja-wił się w tym podłózkim miasteczku z energią i pa-sją. W wykładanej przez siebie matematyce widział uosobienie logiki, precyzji i konsekwencji — czego wówczas nie potrafiłem zaakceptować, a co przecież tak bardzo się w życiu przydaje — nawet jeśli nie buduje się mostów i nie konstruuje maszyny.

A jeśli po latach szepem w zaczerpniętym i urokliwym świecie przeszłości, wśród pożółkłych druków i książek, jeśli tak pociąga mnie szara mgiełka archiwów, ów „kurz na palimpseście, w antykwarni historii” — to przede wszystkim dzięki Helenie Tukajowej, która przybyła do tego miasteczka także 25 lat temu... A ci, którzy nauczyli mnie cenić smak dobrej książki i piękno słowa — Irena Bajkiewicz i Lucjan Kowalski — najlep-

szy z wychowawców, humanista z serca i ducha... A wieloletni dyrektor mojej szkoły, Józef Pierlejewski — pedagog o tak niepodważalnym autorytecie, że nie wahał się zagrać na szkolnej scenie Gerwazego z „Pana Tadeusza” w amatorskim, uczniowskim przedstawieniu. Ja byłem Protazym.

Jednym z atrybutów pedagogicznego talentu dyrektora Pierlejewskiego jest bezbłędne poczucie humoru. Przypominam dziś po latach taką scenę. Po południu w pustej klasie siedzi w kilku i palmy papierosy. Raptem otwierają się drzwi i wchodzi Dyrektor. Papierosy wędrują pod obcas, ale dym że gluje w powietrzu. Dyrektor milczy. Patrzy i milczy. Wreszcie któryś z nas nie wytrzyma i nerwowo mówi bez sensu, bo wbrew oczywistości: „Panie Dyrektorze, myśmy nie pali-li...” Dyrektor spogląda na pasemka dymu nad ławkami i powiada spokojnie: „A czy to ja mówię, że palicie? To tylko tak wygląda...” i wyszedł. Zrobiło się nam głupio. I skuteczniejsza była ta pozornie obojętna reakcja niż najsurowsza reprymenda.

Przechodząc dzisiaj obok mojej szkoły, widzę dwa okna na parterze — okna

mojej klasy. Pierwsza ławka, środkowy rząd, miejsce po lewej stronie patrząc od drzwi... Siedział ze mną Janek D. — dziś doktor matematyki na jednym z uniwersytetów. Z jego talentów matematycznych nic na mnie nie przeszło. Poza ściągami.

Czas — nie tak długi przecież — zaciera twarze kolegów. Co dziś robią, ja kie miejsce zajęli w społeczeństwie, jakie stopnie daje nam dziś życie? Jeden szuka uranu, gdzieś na południu Polski, inny mierz ziemię Arabom gdzieś na zachodzie Afryki... Jeden bada zasady aerodynamiki w Polskiej Akademii Nauk, inny jest wybitnym specjalistą fizyki teoretycznej... Jedni ucza, inni leczą, jeszcze inni projektu ją domy... Grają w teatrze, piszą — po prostu pracują, żyją...

I pamiętają tę swoją szkołę, bo pamiętają swoje najlepsze lata. Tylko, aby sobie uświadomić, że to były właśnie najlepsze lata, musi upłynąć bezlitosny czas... I stąd ta mgiełka postrzeżenia, bez fanfar i wiatów mijają dwudzieste piąte urodziny aleksandrowskiego Liceum. Moje, naszej szkoły.

JERZY WILMAŃSKI

Bez strachu

Słabości i siły

Oto Piotr i Pankracy ma ja zle zamiary (wobec mnie chyba), oto Halina powiedziała, że Klementyna podsłuchiwała, podpatrzyła, zwietrzyła. Oto Bazyli dybie. Kleofas czai się. Gerwazy knuje... Trzeba to wszystko przemysleć, przypomnieć, zrekapitulować, zastanowić, rozproszyć, i poskromić. Takimi to sprawami biedzi się niejeden, kręci się w nim to jak zepsuta płyta, jak koła przewróconego samochodu. Przedmiotowa walka z n i jakami, z wyobraźnią nie jest możliwa, natomiast możliwe jest zamulowanie w samoudręczaniu — rzecz nie bez zalet, gdyż w sprawie tej gromadzi się argumenty przeciw zarzutom lenistwa, nieproduktywności, mizantropii. Jakże mogłem dokonać tego czy owe go, jeżeli mam tyłu wrogów, jeżeli wszyscy i tak udarmienia mój twórcy wysł lek. Wlokę tę słabość niby tarzę, płastuję, ucieleśniam fikcję. Naprawdę w konstruowaniu słabości, jako formy biernie adaptacyjnej w dowolnie i fantastycznie uporowionym świecie, nie jest wcale mniejsze jak w organizowaniu siły jako formy czynnie adaptacyjnej w świecie realnym. Trudno dociec, dlaczego jedni wybrali słabość, drudzy siłę. Może to jakieś predyspozycje układu nerwowego, może fizjologia — nie znane toksyny w organizmie, zły oddech, złe przetykanie. Psychologiczną podstawą słabości jest przereczenie winy za innych, ucieczka w bezczynność, lęk przed odpowiedzialnością za skutki działania. Intelektualną podstawą słabości jest wiedza znaczna, lecz nierównomierna, skłaniająca do przesadnego komplikowania zadania. Trudno mówić o słabości, łatwiej i szlachetniej o słabościach. Słabości jednego nawet człowieka są liczne, są okruciami, a nie spójnym przedmiotem. Siły osobnika silnego, także liczne, porównywane być mogą nie do okrucichów, lecz do elementów konstrukcji, można je złożyć w zborną, spójną całość. Siły konsolidują się stopniowo w wielką siłę, słabości kruszą się w okrucichy małe, amortyczne. Droga jednych prowadzi do silnej, skoncentrowanej syntetyzacji osobowości, droga innych do depersonalizacji. Ciekawa to sprawa, że silni wierzą ludziom i zwykli otrzymują od nich pomoc; świat silnych jest czysty, nikt w nim nie wstydzi się prosić o pomoc. Stabi ludzimi nie wierzą (dajże mogą wierzyć, kiedy uspra-wiedliwił się ich podłością), stabi kryją swą słabość, plastują ją głównie w sobie i dla siebie.

Siedzę przy stole z człowiekiem i mówię — słuchacz kwalifikuje moje kwestie: „To słabość, to siła — teraz to już same słabości, a teraz to siły. Od-rzucaj słabości, zbieraj siły”. Jestem pod silnym wrażeniem tych ocen, są mądre, a przecież jeszcze przed dziesięciu laty uważałem tego człowieka za głupca. Być może był nim wtedy — zmądrzał. W miarę upływu lat krag ludzi, wśród których żyje zmądrzał dosadnie, skutecznie. Siedzę wśród mędrców i z oskumą czekam na ich smaczne, mądre słowa. Niech mnie nakarmią i na syca mądrością. Mądrzy milczą nieopuszczalnie dłu-go — czyżby osłabli? Wsta-je i potrząsam miedrcami, silnie, bardzo silnie.

BERNARD SZTAJNERT

Maski

Dokończenie

— Jeżeli to jest groźba — rzekł — to proszę pamiętać, iż jestem świadkiem, któremu uwierzy każdy sąd przysięgłych. Radzę zastanowić się przed podjęciem nierozważnych kroków!

Nagle pojawili się dwaj mężczyźni, którzy czatowali w przedpokoju. Spojrzeli na Reeda pytająco. Lecz ten kazał im wyjść.

— Jak się nazywa świadek, któremu ufa każdy sąd przysięgłych? — sztychł gangster.

— Nazywam się Mike Shayne. Radzę używać innego tonu w rozmowie ze mną.

— Przyjemnie mi było pana poznać. Nie cierpię nieznanym.

Wyszli z biura.

— Co myślisz o tym, Mike? — zapytał Peter. — Frank jest wściekły.

— Zobaczymy dziś wieczorem. A teraz może być mnie czymś poczęstował?

Flower Club był w komplecie. Ani jednego wolnego krzesła. Na sali elegancka publiczność, blyszcząca klejnoty. Strzelały korki szampa, grała do borowa orkiestra, scenę oświetlały reflektory.

Frankie Reed, bardzo elegancki w białej marynarce, otoczony swymi dryblasami, zajął miejsce przy stoliku na lewo od sceny.

Shayne i Lucy siedzieli przed orkiestrą. Sekretarka doskonale się bawiła. Wśród eleganckiego tłumu już spostrzeżenie kilka milionerek, pięć gwiazd filmowych i burmistrza Nowego Jorku. Shayne popijał cocktail i przyglądał się gólkom ustawionym w podkowie tuż przed sceną. Był przekonany, że jeżeli coś się zdarzy, nadejdzie stamtąd.

Najpierw pokazał się na proscenium młody aktor komiczny, którego skecze wywoływały entuzjazm publiczności. Musiał trzy razy bisować. Lecz Shayne wiedział, że oczekiwano kogoś innego. Wtem pojawił się konferansjer z mikrofonem i nastąpiła cisza.

— A teraz, panie i panowie, zobaczcie za chwilę znakomitą tancerkę... Miss Nora Norelle!

Zagrzmiały oklaski, a potem nastąpiła cisza. Orkiestra zagrała melodię w rytmie wiodącym. Zgaszono światła na widowni, pozostał tylko mały krąg na środku estrady.

Michael zanepokoił się. Czy Peter zwiadował? Niepodobna było zoba-

czyć na sali nic, poza małą wysepką światła. Nora Norelle wstąpiła w pasmo światła i zaczęła tańczyć.

Miała kształty jak wymodelowane przez rzeźbiarza. Poruszała się w takt coraz gwałtowniejszej muzyki. Shayne zauważył oryginalny kostium tancerki: cała była okryta maskami. Małe, eleganckie maseczki, białe, czarne, obsypane jedwabnymi frędzlami. Także twarz, prócz ust, była zakryta maską.

Lucy Hamilton wstrzymała oddech, gdy Nora Norelle wirowała powoli w takt bębnow. Numer już prawie kończył się, gdy tancerka wykonała piruet. Jednocześnie orkiestra zagrała crescendo i zapaliły się światła.

Nora już się nie podniosła. Nagle runęła na scenę.

Na widowni powstał popłoch, ktoś zaczął krzyżeć. Shayne zerwał się i przewrócił stolik. Wskoczył na scenę, lecz było już za późno. Na podłodze rosła czerwona kałuża krwi, plamiąc koronkowe maski.

Ktoś strzelił do tancerki posługując się tłumikiem. Wszelka pomoc była spóźniona. Lecz detektyw mógł jeszcze coś zrobić. Gdy Frank Reed i jego kompani szykowali się do ucieczki, Shayne zablokował im drogę. — Stójcie! — krzyknął — bo was wszystkich pozabijam! Czekać na policję!

Detektyw trzymał pistolet skierowany na Reeda i jego zbirów. Muzykanci pozostawili instrumenty i zebrały się wokół ciała Nory. Kelnerzy biegali we wszystkich kierunkach.

— Shayne — powiedział szybko Frank Reed — niech pan nie robi z siebie wariata. Dam panu dziesięć banknotów i proszę mnie puścić.

— Milcz! — ryknął detektyw. — Zabójcy kobiet nigdy mi się nie podobali.

— Ktoś tu urządził na mnie zasadzkę — powiedział Reed. — Ani ja, ani moi chłopcy nie strzelali.

— Siedź więc spokojnie! Powiesz o tym policji w odpowiednim czasie i miejscu.

Nareszcie zjawiała się policja.

Larkin wrócił na salę. Nieruchomy, obok ciała Nory przyglądał jej się długo, oczy miał pełne łez. Potem zemdlał. Michael zdążył go pochwylić w ramiona, nim upadł na podłogę.

Policja ulokowała się w biurze Larkina. Kierował nią młody blondyn, porucznik Demaree, który spokojnie przez prowadził śledztwo.

— A więc tak — rzekł Demaree, patrząc na wszystkich obecnych. — Ktoś zabił Norę Norelle na oczach wielu świadków. Zbrodniarz powinien być jeszcze tutaj, w tej grupie.

— Chcę zobaczyć się z moim adwokatem! — krzyknął Frank Reed. — To jest pułapka!

— Dobrze — przytaknął porucznik. — A co pan o tym powie, panie Shayne?

— Był pan dziś tutaj, gdy Frank Reed groził Larkinowi i Norze Norelle?

— Tak, byłem — przyznał detektyw. — Dlatego po wypadku starałem się zatrzymać Reeda. Pomyślałem zaraz o tłumiku. Zbadałem pistolety tych pa-

nów, lecz to nie z ich broni padły strzały. I nie znaleźliśmy tłumików.

Demaree wzruszył ramionami. — Tak! Mamy przedmiot można łatwo wyrzucić. Moi ludzie przeszukują salę, może być spokojni.

Peter Larkin oprzytomniał. Siedział teraz w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. Na chwilę uniósł głowę. Mówił powoli.

— Frankie, mam nadzieję, że cię posadzą na krześle elektrycznym. Straciłeś swoją zabawę i nie udało ci się jej odebrać, prawda?

— Tę sprawę zostawmy tymczasem — wtrącił Demaree. — Shayne, dziękuję panu za przytrzymanie tych mężczyzn.

k który był przemocowany do spustu pistoletu. Przy pistolecie tkwił tłumik.

Demaree spojrzął na detektywa, potem zapytał policjanta w cywilu: — Kto jest kierownikiem zespołu?

— Perkusista — wyjaśnił policjant. — To brat miss Norelle, Al Norelle! Peter Larkin krzyknął:

— Na Boga, tego nie mógł zrobić Al! Al Norelle był masywnym brunetem, miał w twarzy coś zwierzęcego. Zaprotestował gwałtownie, gdy mu przedstawiono fakty.

— Czy mówi pan serio? — zapytał porucznika. — Dlaczego miałbym mordować moją siostrę? To prawda, nie byłam do niej zbyt przywiązany, ale to jeszcze nie dowód.



Shayne uśmiechnął się.

— Poruczniku, strzał nie padł z ich pistoletów. Nie znaleźliśmy jeszcze narzędzia zbrodni.

— A może mieli jeszcze jeden pistolet i potem go wyrzucili?

— Poruczniku, pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że Reed i ci dwaj panowie siedzieli tuż przed orkiestrą. Demaree zmarszczył brwi.

— Co to znaczy?

— Nie rozumie pan? — zdziwił się detektyw. — Pistolet automatyczny mógł być schowany w jednym z tych instrumentów i czekać aż go się użyje w stosownym momencie. Jeżeli ktoś z muzyków był współnikiem...

— Chwileczkę — przerwał Demaree. — Jak można ukryć pistolet w...? — Nagle wstał i skierował się ku drzwiom, wydał rozkaz jednemu z policjantów i wrócił. — Dziękuję, Shayne, to dobra myśl.

Po pięciu minutach policjant wrócił. Na otwartej dłoni trzymał ołówek,

— Proszę wyjaśnić — rzekł porucznik — w jaki sposób broń znalazła się w pańskim ręku?

Al wzruszył ramionami. — Gdy Nora upadła, wszyscy straciliśmy głowę. W takim zamieszaniu ktoś mógł włożyć pistolet do mego bębna. To chyba jasne, nie?

Spojrzał na Larkina i zawołał rozpaczliwie: — Peter, broń mnie, wiesz, że nie zabijam jej nigdy. Chociaż to była kobieta, która nie kochała nikogo, tylko swoje ciało.

Twarz Larkina pobladła. — Nie mów tak, Al! Wiesz jak ją kochałem.

Oczy detektywa i jego sekretarki spotkały się w niemym porozumieniu. Shayne coś szepnął porucznikowi, na co ten wyraził zgodę.

Detektyw zbliżył się do krzesła, na którym usiadł Larkin. Peter podniósł wzrok i powiedział: — Przebac mi, Michael, że wciągnąłem cię w to wszystko...

— Peter — zaczął Shayne bez uśmiechu — pokaż mi swą prawą rękę.

Larkin zdziwił się. — Prawą rękę?

— Twoją prawą rękę — powtórzył Shayne. Twarz Larkina pociemniała.

— Dlaczego chcesz ją zobaczyć, Mike?

— Prędzej Peter! — zimno rzekł detektyw. — Zbrodniarz musiał trzymać pistolet blisko ciała. Nie mógł celować, bo ktoś mógłby zauważyć. Zbyt ryzykowne strzelać po ciemku... Krótko mówiąc — na dwóch palcach musiał być jakiś ślad prochu. Wykaże to badanie przy pomocy parafiny.

Peter, czerwony z gniewu, próbował wstać, lecz Mike lekkiem pchnięciem zmusił go, aby ponownie usiadł. Larkin wyjąkał: — Mike, co robisz?

Shayne uśmiechnął się. — Pokaż prawą rękę! A potem może nam co opowiesz bez oczekiwania na test parafinowy.

Peter spojrzął na osoby, które go otaczały. — Nie pokażę ci ręki! — krzyknął nagle. — Czy straciłeś rozum?

— Naprawdę? — zapytał spokojnie Shayne. — Mówiłeś, że twojej żonie zagraża niebezpieczeństwo, mimo to ustawiłeś ją w świetle reflektorów. Sala była ciemna, chociaż wiedziałeś, że jest tam Reed. Pracował w klubie brat Nory, lecz nie powiedziałeś mi o tym, prawda? To dziwne... chyba, że był twym współnikiem. Albo on strzelił, albo ty ukryłeś broń w jego instrumencie. Poza tym nie wierzę w twoją wielką miłość do Nory.

Zabiłeś ją w czasie otwarcia nowego klubu. Jaka to wspaniała reklama! Wszyscy chcieliby ten klub zobaczyć! Lubisz hałaśliwą reklamę. Jeżeli policja zajrzy do twoich rachunków bankowych, to wykryje, że właścicielką klubu była Nora Norelle. To bardzo przykre dla ciebie. Podziwiam organizację: ja świadek gróźb Franka, on — gotowa ofiara!

Kordialna twarz Larkina teraz była pełna nienawiści. — Niech cię piekło pochłonie, Mike! Dowiedziałeś się, że wszystko zapisałem Norze! To była straszna kobieta! Tak, nienawidziłem jej! Nie chciałem, aby rzuciła mną i moim majątkiem.

Podczas jego zeznań Al zabrał ze stołu pistolet. — Peter! — krzyknął — uciekamy!

Michael zacisnął usta. — Al, pistolet jest nie nabyty. Oddaj mi go. Nie uda nam się uciec.

Al opuścił wzrok na broń, którą trzymał w ręce. W tym momencie policjant pchnął go na ścianę, wytrącając mu pistolet z ręki. Shayne zablokował Larkina.

Gdy Michael i Lucy wyszli na ulicę, podszedł do nich Demaree. — Pomysł badania ręki przy pomocy parafiny był genialny! — rzekł porucznik. — Larkin wpadł w pułapkę na całego. Wszystkie twoje bluffy były doskonałe.

Lucy spojrziała zdetonowana. — Czyżby rewolwer był nabyty?

— Tak, był nabyty — odpowiedział Shayne.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

JA Z NIM POGADAM!

To nie moja wina, że tylko co był felieton o złych tekstach piosenkowych, a już znowu temat z tej samej parafii pcha się na siłę pod pióro. Z piosenki zrobiliśmy dominantę naszej dzisiejszej kultury: tyle jest koło niej hałasu, jar marku, humbugu, jakbyśmy chcieli porykiem młodych a kudłatych ludzi zagłuszyć — bo ja wiem, co? Może ciszę? Może zastój? „Ale po czekajcie, poczekajcie na kwadrans milczenia!” — ostrzegł wielki Hindus, Rabindranath Tagore. Może ten hałas to po prostu wyraz głębokich kompleksów młodzieży, domagających się własnie takiej manifestacji? Słyszycie nas, gorszcie się nami, zobaczcie nas, rany boskie, zobaczcie! Zajmujcie się nami! Więcej gitar!

Jest takie pismo Zrzeszenia Studentów Polskich — „itd”. Młodzież akademicka to nie dzieci, to kwiat inteligencji, to środowisko, w którym jak historia historią fermentowały najgorętsze, najbardziej pryncypialne dyskusje, spory, bunt, szarganie świętości, odkrywanie światów. Jakie wątpliwości, jakie problemy drążą czytelników „itd”? Oto poczta redakcyjna jednego tylko numeru (nr 7 z 15 lutego bieżącego roku):

„Na miłość boską zróbcie coś! — pisze studentka Aniuta z Warszawy — Dowie działam się z radia, że wspaniały polski zespół big-beatowy „Czerwone Gitary” rozpada się. Jestem jakby uderzona obuchem. Po tej wiadomości plakałam całą noc.

Przecież ja uwielbiam ten zespół, a szczególnie Seweryna Krajewskiego. I teraz ten zespół ma się rozpaść? Zróbcie coś, błagam! Przecież ja się zabiję, jak oni się rozpadną. Przemówcie im do sumienia!”

Aniuta uwielbia, płacze całą noc, zabija się, a zaraz obok zatamują ręce studentki Małgosie z Poznania:

„Piszę do was dwie zgorzkniałe miłośniczki big-beatu. My same ubóstwiamy niektórych piosenkarzy i zespoły i chodzimy na występy swych bożyszców. Nasze zdania nie zgadzają się z poglądami osób starszej generacji, którym nie podoba się sposób ubierania się, weźmy np. sz. p. Czesława Niemena.”

Małgosiom podoba się przebieranka szanownego pana Niemena, ale Małgosie nie nauczyły się jeszcze gramatyki i odmiany idiotycznego, szmrowatego słowa „bożyszcz”. Również student R. Dzióbkowski nie jest z gramatyką za pan brat, za to kocha wszystkie zespoły beatowe jak leci i będzie się bił w ich obronie:

„A co do pana Jacka Nościszewskiego, to ja sam pójdę do niego z ciosem ale takim atomowym, to może go odczyty krytykować moich ukochanych zespołów jakimi są: „Bizoni”, „Czerwono-Czarni”, „Breckaut”, „No-To-Co”, „Dzamble”, „Czerwone Gitary”, „Trubadurzy”, grupa „ABC” i inne.”

Nie mówi się: „krytykować ukochanych zespołów”, tylko „krytykować ukochane zespoły” — szanowny kolego Dzióbkowski. Poza tym możecie kochać Trubadurów, Bizonów, i innych, nie wygrażając pięściami tym, którzy na przykład chają tylko innych. Pięści to mało akademicki argument.

Student E. Urbański z Krakowa domaga się przytarcia rogów krytykom, którym nie podobają się „bożyszczka”:

„W bezczelny sposób Jan z Nowej Huty poprosił o krytykę „Czerwono-Czarnych”, „ABC”, „Bizonów”, „Breckautów” oraz innych zespołów. Jan prowokuje w widoczny sposób Redakcję „itd” oraz czytelników do krytyki. Proszę wydrukować mój list oraz skrytykować Jana z Nowej Huty.”

Ponieważ w jednym z poprzednich numerów „itd” niejaki pan Charczun ośmielił się podać w wątpliwość walory artystyczne niektórych zespołów, wspomniany już wyżej student Dzióbkowski replikuje z marsem na czole:

„Co do Jana Charczuna, to nie wiem kim jest z zawodu, ale wiem czym jest w dziedzinie muzyki młodzieżowej. Według mnie to uważam go za kompletnego analfabeta. Uważam, że pan Charczun nie dorósł do naszych czasów. Jeśli nie dorósł do naszych czasów, to uważam, żeby wielce zasłużony krytyk zamknął się. A swoją drogą to ja z kolegami zawitam do Poznania i pogadam z tym krytykiem z bożej łaski.”

To jest głębia i śmiałość poglądów, co? Nie dorósł do naszych czasów, bo mu się Niemen nie podoba. I tak dalej, cała poczta na ten temat i cała poczta w tym stylu, powtórzonym wiernie wraz z błędami gramatycznymi przez Redakcję czasopisma, najwidoczniej z pietyzmu oraz dla zachowania całej egzotyki środowiskowego dialektu.

Bardzo się robi smutno i tylko wstyd powstrzymuje nas od banalnego zaśpiewu: „za naszych studenckich czasów...” Na szczęście jednak nie jest tak całkiem źle. Są jeszcze inne pisma i inni studenci. O nich chciałbym pomówić za dwa tygodnie, do tego czasu proszę młodzież akademicką o powstrzymanie się z atomowymi ciosami pod moim adresem.

ĆWIEK